



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

TREŚĆ: Pogawędka. — Drugie Pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Józef Chełmoński (Profil krytyczny) przez Wiktora Gomulickiego. — Nowiny Paryżkie (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty i 5-ty Tomu 2-go powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 34 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.

POGA WĘDKA.

Wakacye! — urocze to słowo rozpromienia uśmiechem szczęścia i radości tysiące młodych, zmierzonych twarzy, od puciołowej buzi uczniaka z wstępnej klasy do runiącego się zarostem oblicza akademika, od dziecięcych lic pensyonarki do twarzyczki podlotka, dojrzewającego na dziewicę.

Najcięższa pora właśnie minęła dla młodzieży szkolnej wszelkiego wieku i stanu; egzamina zakończone, popisy odbyte, świadectwa rozdane, za całoroczną pracę i trudy na szkolnej ławie należy się wypoczynek i nagroda.

Z bijącym sercem wyczekują gdzieś tam stęsknione matki powrotu swoich pociech, swojej dumy, swoich jedynaków ukochanych i przemyślują nad tem, czemu im umilić pobyt na łonie rodziny, pod ojcowskim dachem.

Wakacye to najprzyjemniejsze, najbardziej urozmaicone wspomnienia młodości; wraca się do nich myślą z serdecznym westchnieniem w późniejszym życiu i żałuje tych nigdy już niepowrotnych wrażeń, co zapisują się w duszy tak głęboko nieraz, że ich nie potem wygładzić i zatrzeć nie potrafi.

I nic w tem dziwnego: „młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały” — powiedział poeta. Jakże pamiętać o tem powinni ci wszyscy, co w swej ręce trzymają dłuto, rzeźbiące dusze i serce swoich dzieci, swoich uczniów, swych wychowawców! — od jednego rysu nieraz zależy później ta głęboka linia ich duchowej fizjonomii, kształtowania się charakteru, pojęć, poglądów, które wyzłabia tylko głębiej dalsze życie i wpływy.

Pamiętajcie dobrze o tem wy, dobre i zacne matki, pierwsze i najważniejsze nauczycielki młodego pokolenia; wy, ojcowie, których przykład zachęcać, doświadczenie uczyć, spracowana dłoń hartować i kierować winna waszych następców.

Jeżeli wam w ciągu roku zabrakło sposobności do spełniania tych świętych obowiązków, to macie najlepszą okazję teraz podczas wakacyj zbliżyć się bardziej do waszych dzieci, poznać stan ich serc i umysłów, zajrzeć do tych główek: co tam poza nauką do nich się dostało potrzebnego i niepotrzebnego; chwasty, jeżeli są, wyplenić, a na ich miejsce zdrowe ziarna zasiać.

Niejednokrotnie zwracano uwagę, że pedagogia domowa u nas szwankuje pod wieloma względami; że to, co właściwie nazywa się „wychowaniem“, co urabia człowieka na przyszłość, bywa, niestety, najczęściej lekceważonem, zaniedbywanem przez dzisiejsze matki i dzisiejszych ojców.

Składają się na taki stan rzeczy rozmaite przyczyny, pomiędzy którymi jest i ta smutna okoliczność, że rodzice zamało czasu chcą lub mogą poświęcać swoim dzieciom, zamało się ich intelektualnymi i moralnymi stronami zajmują, porzostając na wyręczaniu się obcą pomocą bon, guwernantek, nauczycieli, szkoły, pensjonatu.

Pozostawia się dziecko tym wyłącznym wpływom, opłacanym nawet często bardzo drogo, i ma się to przekonanie, że skoro się łoży tyle na naukę, to już dość, to się już spełnia wszystkie obowiązki dobrego wychowania; a w tem właśnie leży błąd i różnica dwóch systematów rodzicielskich dawniejszego i dzisiejszego pokolenia.

Spotyka się też coraz więcej dzieci i dorosłej młodzieży, na której nie znać wpływu domowego wychowania, nie znać tych śladów dbałości, ciepłej, treskliwej ręki matczynej, tego urobienia serca i myśli, których na całym świecie żadna szkoła, żaden instytut, żadna książka nie zdoła skutecznici. Są pewne tak delikatne, subtelne a konieczne rysy w człowie-

ku, rysy wielkiej wagi i znaczenia w jego duchowej fizjonomii, które tylko w atmosferze domowej, rodzinnej dają się wyzłobić i utrwalić, po których poznać człowieka na prawdę dobrze, starannie i właściwie wychowanego, i pod tym względem właśnie znać zaniedbanie coraz większe w młodych ludziach z głową napozór oświeconą, ale z sercem ciemnym, nieokrzesanem, niewykształconem, z pewną ostrością w manierach, z pewną szorstkością pod powierzchowną oglądą, z pewną płytkością uczuć zaniedbanych w wychowaniu rodzicielskiem.

Powiedzcie: ile razy zdarzyło się wam spotkać młodzieńca albo wyrostka, któremu niby nic zarzucić nie mogliście, ale który pomimo wszystkich swoich dodatnich stron był dla was jednak niesympatycznym, właśnie przez owe braki pewnych rysów, któreby go zbliżyły do was i więcej punktów zetknięcia wspólnego dawały!

Jak po owocach poznaje się drzewo, jego kulturę, jego rodzaj, tak po dzieciach poznać można rodziców, dom, warunki wychowania, sferę, w której rozwijały się i wzrastały.

Nie należy lekceważyć żadnych, choćby najmniejszych wpływów na naturę, organizm i umysł dziecięcy; wszystko to wyzłabia swoje ślady i człowiek wyrasta najczęściej taki, jakiego te wpływy urabiały.

Wyszła obecnie bardzo ciekawa i pouczająca książka w polskim tłumaczeniu, nakładem Gebethnera i Wolffa, p. t. „Psychologia dziecka;“ jest to pierwsza część dzieła Bernarda Pereza w przekładzie p. Maryi Dzierżanowskiej, zawierająca bardzo szczegółowy rozbiór trzech pierwszych lat dziecka pod względem umysłowego rozwoju. Autor rozpoczyna swoje uwagi i spostrzeżenia od zastanowienia się nad władzami umysłowymi człowieka jeszcze przed urodzeniem, i przechodzi następnie cały ten proces od najpierwszych wrażeń w rozwoju pojęć, myśli, uczuć, instyktów,

skłonności aż do wytwarzania się osobowości, rozważa i zmysłu moralnego.

Troskliwym o dobro swoich następców ojcom i matkom polecam do uważnego odczytania tę książkę, która kończy się takimi słowami: „Najważniejsze zadanie wychowawcy na tem polega, żeby od pierwszych dni życia dziecka rozniecać w niem chwilowe błyski tak zawsze chwiejnego światła rozsądku moralnego.“

Mnóstwo ludzi nawet się nie domyśla, co to za ciekawy i szczególniejszy egzemplarz do studyów jest ten malutki człowiek w pieluszkach, jeszcze na rękę piastunki, ile on materiału przedstawi do poważnych obserwacji i jak pouczającymi mogą być te spostrzeżenia, które najczęściej uchodzą z pod uwagi nawet najbardziej kochającej matki.

Kwestya dziecięca, która mi tyle miejsca dziś zabrała, zmusza mnie jeszcze do uzupełnienia tego tematu chociaż krótką wzmianką o koloniach letnich, które pod opieką troskliwej dr. Gustawa Fritschego rozszerzają się co roku, coraz większy przynoszą pożytek.

Sprawozdanie za rok zeszły wykazuje postęp nadzwyczajny, zarówno w porównaniu z pierwszym rokiem istnienia osad, jak i przedostatnim; w przeciągu ośmiu lat ośm razy zwiększyła się pierwsza ilość dzieci, wysyłanych na wieś. Z początku było ich tylko 52, zeszłego lata już 417 zdołano na koszt publiczny rozmieścić po dziećciu koloniach, a w roku bieżącym jest nadzieja powiększenia znowu i tej liczby.

Okazuje się, że, wytrwale dążąc do celu, nie zrażając się niczem, próbując rozmaitych środków, można rozwiązywać najtrudniejsze z pozoru zadania.

Dr. Fritsche jest rzadkim a dzielnym tego przykładem.

Zwiększyła się ilość małych osadników wakacyjnych i zmniejszyły się do minimum koszty utrzymania; pierwotnie na jedno dziecko wydawano około 25 rs., dzisiaj wydaje się zaledwie 10, dzięki ofiarności obywateli ziemskich, którzy coraz częściej dają gościnę warszawskim biedotom.

Wszystko to wszelako nie zadawała jeszcze głównego opiekuna kolonij letnich, wszystko to wydaje mu się niedostatecznym; pragnie on dorównać Szwajcarom, Niemcom i Duńczykom pod tym względem, którzy rokrocznie tysiące biednych, słabowitych dzieci, wysyłają na świeże powietrze.

Co prawda, w tych krajach istnieją też warunki przychylniejsze potemu, gdyż oprócz zamkniętych kolonij, jak u nas, oddaje się tam dzieci pojedynczo lub po dwoje i troje pod opiekę kolonistom.

U nas jeszcze za wielka istnieje różnica pomiędzy trybem życia, stopniem oświaty i ogłady między ludnością miejską a wiejską. Niepodobna byłoby powierzać wieśniakom naszym dzieci najuboższych nawet rodziców, pod wyłączny dozór; gruba, prosta i jednostajna żywność, warunki pomieszczenia w brudnych chatkach, brak odpowiedniego dozoru nie odpowiadają celom, jakie osady wakacyjne mają przed sobą.

Zagranicą istnieją nadto, szczególnie w Włoszech i w Niemczech, osobne sanatoria, zwłaszcza nad brzegiem morza, gdzie, nie słabowite, ale wprost chore, dzieci znajdują przytułek i opiekę staranną i kosztowną, na którą łoży ofiarności publiczna.

Otóż uwzględniając obce przykłady, dr. Fritsche, występuje z kilkoma nowymi wnioskami, które, oile go znam, do skutku doprowadzi; najpierw projektuje utworzenie jednej osady płatnej, w którejby znaleźć mogły tanim kosztem dzieci niezamożnych rodziców pomieszczenie w ciągu lata.

Byłaby to takie dziecięce *prytaneum*, gdzieby malców przyjmowano na podkarmienie.

Następnie słuszną uwagę robi dr. F., że komitet kolonij letnich powinien być stały, przeważnie z dam złożony, cały rok czynny, opiekujący się swymi czasowymi pupillami gorliwie i osobiście, niosący pomoc w razie potrzeby, poradę lekarską i lekarstwa na wypadek choroby.

Nadto jedną przynajmniej kolonią należałoby urządzić dla dzieci chorych, skroficznych, ra-

chitycznych i t. p.; najwłaściwiej nadawałoby się potemu jedno z naszych miejsc leczniczych, jak np. Ciechocinek, Busk, lub inne jakie.

Nareszcie, zdaniem dr. Fritschego, kolonie letnie nie będą mogły dojść do należytego rozwoju, dopóki nie będą posiadały swojego własnego domu w okolicach Warszawy.

No, i co powiecie: w roku przyszłym kolonie letnie będą miały swoją własną nieruchomość na gruncie darmo ofiarowanym przez jakiegoś poczciwego ziemianina.

Staną na nim z początku dwa, a choćby jeden tylko pawilon z 25-cioma łózkami, na których przez lato pięćdziesięciu, a względnie stu chłopców znajdzie pomieszczenie.

Potem ten barak się rozrośnie i staną przy nim przybudówki, a gdy przychylne losy i dobre serca pozwolą, zamieni się osada na cały folwarczek, w którym, nietylko własne powietrze świeże, ale i własne mleko dla anemicznych dzieci, i własne masło, i własne kurczęta, kartofle i włoszczyznę do krupników i rosółów będzie można mieć dla wakacyjnych osadników.

Nie od razu Kraków zbudowano, ale nie byłby nigdy tak się rozrósł, gdyby pierwszych fundamentów nie były czyjeś zabiegliwe ręce wykopały.

Dr. Fritsche ma już fundamenta i powoli budować będzie resztę przy pomocy ludzi dobrej woli, hojnej ręki, zacnego i miłosiernego serca.

I zrobi się znowu rzecz dobra i pożyteczna, z której całe pokolenia korzystać mogą, błogosławiąc swych dobroczyńców.

W ogóle lepsza jakaś otucha wstępuje ludziom w serca, gdy się widzi dookoła siebie czyny i zabiegi nieustanne, wytrwałe, z wiarą podejmowane i pomyślnym uwieńczone skutkiem.

Niestety, dla zrównoważenia dodatnich faktów losy nie szczędzą nam i ujemnych; do tych właśnie zaliczyć muszę sprawę, wytoczoną przed sąd opinii publicznej w łamach *Gazety Warszawskiej*, przez p. Karola Müllera.

Sprawa ta dotyczy zapisu ś. p. Kajetana hr. Kickiego i administracji majątku Sobieszyn, którego autor artykułu jest bliskim sąsiadem i miał sposobność przez lat kilkanaście przypatrywać się prowadzonemu tam gospodarstwu.

Pan M. gani w ogóle sposób traktowania ostatniej woli filantropa i zarząd jego mienia przeznaczanego na cele publiczne; dotychczasowe rezultaty tej gospodarki w największym, oczyszczonym z długów i najlepiej położonym majątku nie zadawałają go, wtyka wiele ważnych błędów, robi zarzut głównemu administratorowi—opiekunowi, że jako niezawodowy gospodarz i rolnik nie posiada sam należytych warunków do spełniania swego zadania, gani wreszcie nieporządku i brak zalecanych przez testatora amelioracyj, w takim stopniu, w jakimby je przeprowadzać należało, krytykuje gospodarstwo leśne, stan inwentarza, posługiwanie się pachciarzami i wskazuje na końcu, coby pożyteczniejszego można było zrobić przy ruchliwszej inicjatywie i pomysłowości.

Wogóle, od czasu objęcia zapisu przez Towarzystwo osad rolnych i oddanie go w administrację dzisiejszemu specjalnemu zarządowi, bardzo mało widzieliśmy dodatnich rezultatów, a wogóle bardzo niewiele mogliśmy się dowiedzieć o jego właściwym stanie wobec skąpych wiadomości, udzielanych tylko w rocznikach instytucji.

Odezwanie się przeto p. Müllera w tak poważnym organie, jak *Gazeta warszawska*, stawia tę kwestyę na porządku dziennym, zwraca na nią uwagę władz Towarzystwa i domaga się wyjaśnienia lub odparcia zarzutów, a w każdym razie baczniejszej i troskliwszej opieki, bardziej kompetentnej administracji, któraby dążyła energiczniej i umiejętniej do celów, w duchu zapisodawcy.

Sama dobra wola, o brak której niepodobna tu nikogo posądzać, nie wystarcza do spełnienia tak trudnych, obszernych i odpowiedzialnych zadań; administracja milionowego majątku wymaga długoletniego doświadczenia, dokładnej znajomości gospodarstwa rolnego, zawodowej praktyczności i poświęcenia są wyłącznie tym obowiązkiem zajęciom, których nie można spełniać wspólnie z innymi urzędami, siedząc na miejscu w War-

szawie i posługując się jedynie rządzcami na wsi, dzierżawcami i pachciarzami.

Zwłaszcza administracja majątku ziemskiego w tych czasach—to prawdziwa sztuka balansowania między tysiącami trudnościami; to w swoim rodzaju istny taniec wśród mieczów...

Rok bieżący niby zapowiada się lepiej, ale jak właściwie udadzą się zbiory, jakie będą plony, jakie ceny?—to wszystko jeszcze jest kwestyą, której rozwiązania gospodarze nasi wyczekują, drapiąc się w łysiejące głowy.

Jarmark wełniany wielkiej pociechy nie przyności; w porównaniu z rokiem zeszłym dowóz był mniejszy, sprzedaż mniejsza, ceny niższe, popyt nieszczęśliwy.

Kurs rubla wysoki zniechęcił kupców zagranicznych, a onieśmielił fabrykantów krajowych wobec ułatwień sprowadzania wyrobów wełnianych z zagranicy.

Do nieprzyjemnych chwil, jakieśmy w ostatnich czasach przeżyli, należała przed dwoma dniami ta, w której z dwóch stron Europy doszły do nas telegramy z zapowiedzią bardzo niepożądaną wizyty; z Taszkientu i Madrytu zaalarmowano nas niespodzianie, że cholera zamierza wiać Europę w krzyżowy ogień.

Wielu strachajłów uczuwać zaczynało już w dołku jakieś nieprzyjemne uczucia i zamykało oczy na samo wspomnienie surowego ogórka przez instynktową ostrożność; na szczęście, ze wschodu zaprzeczono w porę pogłosce, a z zachodu codzień nadchodzą uspakajające wieści, że epidemia umiejscowiła się w dwóch tylko wioskach: Puebla de Rugat i Montichelvo.

Natomiast *Gazeta Radomska* zanotowała wypadek „nonny“ w Jedlińsku, gdzie jakaś żydówka śpiidrugi tydzień pod obserwacją d-ra Płużańskiego.

Za czasów niemiłej pamięci influenzy (na psa urok!) przepowiadano nam i cholere, i nonnę epidemiczną. Lekarze wzruszali powątpiewająco ramionami; obecnie również zachowują swoją sceptyczną powagę i uważają te postrachy za rzecz przedyskutowaną.

Radzę nabrać odwagi i nie obawiać się niczego.

Gdyby nas zresztą na cały sezon ogórkowy napadła epidemiczna śpiączka, nie wielebyśmy stracili, przynajmniej w Warszawie, która zaczyna być „piramidalnie“ nudną, pomimo wyscigów, festiwalów, ogródków, premier, cyrku i wycieczek zbiorowych.

Te ostatnie zamącone zostały tragicznym wypadkiem utonięcia trzech wiosłarzy z osady „Wandy“, którą smagane wichrem fale wiślane porwały na dno przedostatniej Niedzieli.

Dziewięciu młodych ludzi ze sfery handlowej, chciało zadać szyku kolegom swoim, zdążającym na wycieczkę statkiem parowym ku Łomiankom nad Wisłą i pomimo bardzo nieprzychylniej pogody, pomimo deszczu i wichru puściło się łodzią naprzód na wyprawę.

Lekkomyślność ta została srodze ukarana; z niebezpieczeństwem życia wypłynął tylko sternik z pięcioma towarzyszami, trzech innych, jak rozjuszony potwór połknęła Wisła i przez kilka dni zwrócić nie chciała.

Tysięczne tłumy odprowadziły zwłoki nieboszczyków na Powązki; śmierć nadała im oplakanego rozgłosu, ale co on wart wobec straconego życia!..

Towarzystwu wiosłarskiemu zrobiono wyrzut, że ma regulamin nieprzewidujący dostatecznie podobnych wypadków; Towarzystwo, co prawda, nie wiele temu winno, ale smutne doświadczenie zapewne na przyszłość zaleci większą ostrożność. w wydawaniu łodzi z przystani, w formowaniu osady, a sternikom większą energią i stanowczością.

Nie należało pozwolić na awanturniczą prawie wycieczkę w dniu dżdżystym, chłodnym, przy silnym wicherze, po wzburzonych falach rzeki; nie należało uleść tak łatwo naciskowi zuchowatej załogi, która powinna była usłuchać perswazyj swego sternika, gdy przy pierwszym wyładowaniu na brzeg, odradzał dalszą wyprawę, wbrew fałszywym ambicyom swoich wiosłarzy.

Tę przezorność, całkiem usprawiedliwioną w danych warunkach, nazwali oni wprawdzie tchórzostwem, ale łatwiej było znieść zarzut rozgorączkowanych głów, niż narażać się na tak ciężką odpowiedzialność.

Teraz, po niewczasie sypią się dobre rady, które należało wcześniej zastosować i oddawna już zaprowadzić obowiązkową naukę pływania dla wszystkich wioślarzy, pomyśleć o środkach bezpieczeństwa i o środkach ratunkowych w razie nieszczęśliwego wypadku.

Komuś przypomniało się, iż zagranicą wynaleziono gutaperkowe kołnierzyki dla wioślarzy, które za pomocą rurki z wentylem można w kilkunastosekundach wydać powietrzem i wypadły nawet do wody, utrzymując się na jej powierzchni.

Przysłowie powiada, że „strzeżonego Pan Bóg strzeże“, a chyba tej dewizy żadne inne sportowe towarzystwo nie powinno tak przestrzegać, jak klub wioślarski.

Nie zaszkodziłoby również, aby członkowie jego assekurowani byli od wypadków obowiązkowo; wydatek jednego rubla od tysiąca rocznie nie jest tak znacznym, ażeby go nawet najmniej zaможni ponieść nie mogli, a w razie nieszczęścia biedne rodziny, jak tym razem, nie pozostałyby bez pomocy, zdane na łaskę losu i współczucie kolegów.

O tym rodzaju assekuracji od wypadków dorzeby było pouczyć także inne sfery, zwłaszcza robotnicze, fabryczne, przemysłowe i rozpowszechnić wśród nich pojęcie o korzyściach, jakie takie zabezpieczenie zapewnia. Nie powtórzyłby się wtedy podobny wypadek, o jakim wspomina *Dziennik łódzki*. W jednym z browarów tamtejszych zapalił się lakier i groził pożarem w całej fabryce. Wody brakło pod ręką i katastrofa mogła być nieuniknioną, gdyby jeden ze stolarzy nie był zdjął z siebie kapoty i ognia nią nie zgasił. Mniejsza o to, że zniszczył sobie przyodziełek, ale poparzył się jeszcze przy tem tak boleśnie, że przez cały tydzień nie mógł pracować. Kiedy zaś po wyzdrowieniu udał się do właściciela browaru z prośbą o zapłatę za czas stracony, otrzymał... w przykry sposób odmowę.

Dziennik łódzki dość często wspomina o takim obchodzeniu się fabrykantów z robotnikami. W ogóle to, co słyszymy o tamtejszych stosunkach nie należy do rzędu faktów dodatnich. Nie brak ich wszelako i w Łodzi. Według ostatnich wiadomości z tamtąd, sprawa miejscowego teatru wzięła w tych dniach pomyslny obrót; powstała spółka z kapitałem 6.000 rs., która postanowiła zaopiekować się sceną polską i artystyczny kierunek powierzyć p. Kopczewskiemu, reżysserowi trupy zostającej dotychczas pod dyrekcją p. Kościeleckiego. Ten ostatni nie umiał bowiem utrzymać sympatii i zaufania miłośników teatru łódzkiego i zraził sobie publiczność.

Jednocześnie grono przemysłowców zadeklarowało stałą roczną zapomogę w summie około 5.000 rs. dla teatru niemieckiego, którego kierownikiem zostaje jeden z byłych dyrektorów berlińskich p. Albert Rosenthal.

Na zakończenie zostaje mi zamalo miejsca na zanotowanie wielkiej wiadomości, która wszelako na swoim lakonizmie nic nie straci: oto przewiezienie zwłok Adama Mickiewicza z Montmorency do grobów na Wawelu odbędzie się stanowczo 4-go Lipca r. b.

W wspaniałej exportacji przyjmie udział na czele całego duchowieństwa książę biskup Dunajewski w nowej godności kardynała, którą mu nadał papież Leon XIII.

Quis.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

Stary Pęczyński po powrocie z Burakówka za nadto miał głowę zajętą interessami fabryki, aby zwracać uwagę na swoje „starą“ i Krzysia; tylo-

letni współpracownik firmy przejmował się jej sprawami, jakgdyby one były jego własnymi, solidaryzował się z niemi do tego stopnia, że nigdy inaczej nie mówił, jak:

— Zapłaciłmiś dzisiaj ratę w banku, ale to nam wyrwało dziurę w kieszeni, — albo:

— Chwała Bogu, napłynęła nam dzisiaj flota, mamy znów trochę pieniędzy, — i wtedy rozsuwały mu się zmarszczki na czole, bywał w dobrym humorze, uśmiechał się, fajkę po fajce palił i nabierał niezwykłego rezonu, jakgdyby owa flota napłynęła wprost do jego kieszeni, zamiast do kasy fabrycznej.

Z całej duszy rad był pomagać Fattowi, dla którego miał podwójne współczucie, i dzielił jego ciężkie kłopoty przy regulowaniu interessów zachwianej firmy i bolesti ojca, tak srodze zawiedzionego na najukochańszym synu.

— No, patrzaj, patrzaj stara, — mawiał do Frani, kiwając smutnie głową i przymrużając przytem powieki, jakby go sama myśl o tem bolała — dochować się takiej pociechy na stare lata, to gorsze od śmierci!... niech Bóg zachował!

Nigdy inaczej, tylko z gniewnym marszem na czole wspominał Karola Fatta, chociaż wstrzymywał się zawsze od wypowiedzania całej o nim opinii.

Dla Krzysia natomiast okazywał coraz więcej przychylności i uznania, widząc jego postępowanie z ojcem w chwilach najcięższych przejść i doświadczeń.

— O, co to za różnica z tamtym! — powtarzał — złote serce, a jaki pilny, jaki pracowity! — drugi ojciec. Mój Boże, jak to się w jednej rodzinie dzieci nie jednakowo udają. Przecież to niebo a ziemia, Krzys i Karol!...

Frani słuchała tych pochwał z uśmiechem zadowolenia i wyciągała umyślnie ojca na słówka, aby jej tylko jaknajwięcej o nim dobrego opowiadał.

— A widzi tatko, a widzi tatko! — wtrącała krótko z błyszczącymi oczyma, jakgdyby dumną była z tego swojego Krzysia.

Stary się nie spostrzegał, że mimowoli jeszcze bardziej rozdmuchuje w serduszkach córki uczucia, które mu niedgdyś tyle zmartwienia sprawiły.

Pewnego dnia przybiegł z fabryki w niezwykłej porze przed południem, aby swej „Frani“ udzielić ważnej wiadomości.

— Staral! — zawołał, stając przed nią z rozpromienioną miną — zgadnij-no, co mnie spotkało.

— A no, coś bardzo złego, bo ojciec jakiś zmieszany, — odrzekła z udaną niedomyślnością.

— Co tam zmieszany, jak zmieszany, ale kontent jestem, jakby mnie kto na sto koni wsadził!... czy ty wiesz, z kim w tej chwili rozmawiasz?...

— Z panem Pęczyńskim.

— Ba, ale z jakim panem Pęczyńskim?.. Ha, ha — widzisz, ani się domyślał!... to ci powiem: z głównym kassyerem fabryki, — a co?!

Frani zarumieniła się z radości, pokręciła główką z podziwem i spojrzała na ojca pytająco.

— Tak, tak, — zacierając ręce mówili dalej — z głównym kassyerem firmy! Wyobraź sobie, dziś rano woła mnie Fatt do siebie, właśnie, kiedy miałem z rachunkami iść do miasta, i mówi do mnie: „Pęczyński, trzebaby już tym starym nogom dać trochę wypożyczyć, nabiegałeś się dosyć przez tyle lat.“ — „Ej, — powiadam mu — jakoś to tam jeszcze służą człowiekowi, byle było na czem biegać nie napróżno.“ — „No, a ja panu powiadam, że ci potrzebne bardziej siedzące zajęcie i dlatego proponuję, czybyś nie objął kassy od kwartału, bo pan Glaser odchodzi!... Aż mi się gorąco zrobiło w pierwszej chwili. „Jakżeż — mówię mu na to — obejmę kasę, kiedy nie mam na kaucyę ani grosza?.. Pan Glaser miał kaucyę“, — a pocziwy nasz stary, powiadam ci, kiwa do mnie głową, jak do jakiego smarkacza i stuka sobie palcem w czoło: „Aj, Pęczyński, Pęczyński, — mówi — trzydzieści lat znosiłeś mi pieniądze bez kaucy i grosza mi nie uroniłeś, a teraz chodzić mi ma o poręczenie!... nie bądźże pan dzieckiem!... Dał mi rękę i od kwartału kazał objąć kasę z podwójną pensją. Cóż ty na to?..

Zamiast odpowiedzi zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go serdecznie.

Żadne z nich nie domyśliło się nawet, kto wła-

ściwie był sprawcą takiego awansu starego inkassenta i jaka rozmowa poprzedziła to postanowienie między ojcem a synem w kantorze.

Było to właśnie dnia poprzedniego wieczorem, kiedy Fatt senior znalazł się sam na sam z Krzysiem po całodziennych zajęciach i wcześniej, niż zwykłe, zamierzał wyjechać do domu. Uszło to wprawdzie jego uwagi, że syn kilkakrotnie próbował zacząć z nim rozmowę o Pęczyńskim.

— Wie ojciec — mówił — że on się dla nas pracuje. Tak przywiązanego człowieka nie mamy w całej fabryce. Ja miałbym do ojca prośbę — odważył się nareszcie otwarcie wystąpić.

— Czegóż chcesz?

— Oto od kwartału Glaser odchodzi od nas, nie mamy na razie żadnego następcy; czy nie wartoby było Pęczyńskiemu dać jego miejsce?

Stary namyślał się chwilę.

— Lepszego z trudnością znajdziemy — ciągnął Krzys dalej — a zresztą...

Wstał, podszedł bliżej i zmieszany trochę, skubiąc swój podkręcony wąsik, niepewnym głosem mówił:

— Zresztą ja już oddawna miałem ojcu powiedzieć, że..

— Że ci się panna Pęczyńska podoba? — przerwał mu niespodzianie stary z pobłażliwym uśmiechem, który oddawna nie ukazywał się już na jego twarzy.

Krzys zarumienił się, jak student przed panem professorem; ta domysłność ojca zmieszała go do reszty.

— A tak — potwierdził instynktownie — ale z kąd ojciec wie o tem?..

Miał przy tych słowach minę tak pociesznie zdziwioną i zakłopotaną zarazem, że stary roześmiać się musiał.

— Z kąd wiem!.. wiem, to dość — odparł łagodnie ośmielającym tonem — widziałem cię kilka razy przez okno, jakieś z nią rozmawiał. Kwiatki jej posyłasz, chodzisz tam wieczorami, prawda?.. ojciec wie wszystko teraz — dodał z westchnieniem.

— Prawda, proszę ojca — chrząkając, przyznał się syn — prawda, ale to przecież tyle lat się już ciągnie.

— Tyle lat?.. ach, bo to wy się znacie od dzieci, zapominałem. No, i cóż dalej?..

— A no, właśnie chciałem się ojca spytać, czy..

— Czy mogę dalej bałamucić biedną panienkę, co?..

Krzys zachnął się mimowoli i zaprzeczył żywo: — Kiedy ja jej nie bałamucę, proszę ojca!..

Stary spojrział na niego poważnie.

— A cóż?.. zenić się myślisz? — spytał.

— Rozumie się, jeżeli ojciec pozwoli.

— A jeśli nie pozwoli?..

Młody człowiek się zawahał; policzki mu znów pokraśniały aż po same białka, brwi zadrgały niespokojnie, usta zaciął, ale po chwili odrzekł spochmurniały:

— Jeżeli ojciec nie pozwoli to... to...

— To co?..

— No, ojciec co innego, niż brat; jeżeli ojciec nie da zezwolenia, to... to ja będę czekał — odrzekł pokornie, ale z przymusem. — Już przecież miałem jedną przeprowadę o to samo z Karolem — dodał smutnie — on mi się także zabraniał zenić, ale wtedy było co innego, wtedy Liza miała zostać baronową i zachciewało się nam piąć do arystokracji, a dzisiaj chyba... chyba...

Nie umiał wybrnąć z tego, więc przerwał sobie i wzruszając ramionami, dokończył z innego tonu:

— Zresztą, proszę ojca, ja tam nie chcę szukać żadnej partyi, ani posagu, — chcę mieć żonę dobrą i uczciwą, i taką, którąbym kochał i którąby mnie kochała. Ja się chcę ożenić w swojej sferze i już.

Mówił to ze szczerą prostotą tak, jak czuł.

Stary Fatt patrzył na syna, rozmyślając.

— Hm, hm! — odezwał się po długiej chwili — trzeba było od razu od tego zacząć, a nie od przetargowania Pęczyńskiego na kassyerstwo.

Stuknął swoją łaską o podłogę i wytrzymał Krzysia przed sobą w milczeniu, nie dając mu żadnej stanowczej odpowiedzi; wreszcie podniósł się, przeszedł tam i z powrotem po pokoju i przystą-

piwszy do syna, położył mu rękę na ramieniu ze słowami:

— No, no, bądź spokojny; Pęczyński dostanie miejsce po Glaserze, a o pannie kassyerównie pogadamy.

Krzysioowi nagle oczy zajaśniały radością i nadzieją; stał wyprostowany, jak szeregowiec, i zapomniał nawet starego w ramię pocałować.

— Mógłbyś też powiedzieć Pęczyńskiemu, żeby ją kiedy do Lizy przyprowadził—dorzucił stary — niechym się i ja tej pannie trochę bliżej przypatrzę. No, a teraz chodźmy do domu; sprowadź mnie do dorozki.

Nigdy gorętszego pocałunku synowskie usta nie wycisnęły na ręce ojca, jak w podzięce za te słowa, pod których wrażeniem Krzysio miał ochotę porwać swego starego w ramiona i zanieść go do samego domu.

X.

Rozbitek.

Leniwo, ciężko włókł się pociąg osobowy do stacji, jakby go nosły reumatyczne koła, a osie porzewiały na wilgoci, której pełne było powietrze.

Brzydki, wilgotny i chłodny wieczór jesienny roztaczał się nad rozmiękłą i błotnistą ziemią.

Deszcz niby nie padał, a jednak nagie gałęzie drzew pokryte były kroplami wody, z dachów sączyły się cienkie jej strumienie i rozlewały w brudne kałuże. Przejmujący chłód załaził ludziom pod skórę i przenikał aż do kości.

Z gromadką robotników i żydów wysiadł z wagonu trzeciej klasy mężczyzna w wiosennej granatowej okrywce, spłowiałej i poplamionej, w kapeluszu filcowym podobnej barwy, z torebką podróżną, przewieszoną przez ramię; na obłożonych butach zawinięte miał pantalone, kołnierz podniesiony do góry przytrzymał pod brodą ręką od chłodu zgrabiałą, w drugiej niósł grubą laskę, na której opierał się, utykając lekko na prawą nogę.

Szedł z wolna, rozglądając się bacznie po peronie, ale trzymał się bliżej muru, jakby chciał uniknąć spojrzeń ludzkich i niepostrzeżenie przedostać się z tłumem ku wyjściu.

Upatrywał widocznie zpod oka jakiej znajomej twarzy, ale najpewniej nie w celu jej powitania, tylko przez ostrożność, z chęcią wyminięcia jej w porę.

Wyszedłszy z dworca, skierował się, nie chodnikiem z falą podróżnych i przechodniów, dążących ku miastu, ale wybrał umyślnie drogę przez błotnisty plac, na którym rzędem stały dorozki z podniesionymi budami i omnibusy holowe.

Dopiero, gdy doszedł do mniej uczęszczanego chodnika po przeciwnej stronie, zatrzymał się i spojrzął poza siebie.

Twarz miał obrzękłą, zmizerowaną, poźółkłą, pokrytą gęstym zarostem, na którym wszelako znać było takie samo zaniechanie, jak w całej jego powierzchowności.

Stał chwilę, namyślając się, w którą lepiej pójść stronę, spojrzął na oświetloną tarczę zegaru na wieży kolejowego dworca, ale nadarmo wysilał zmrużone oczy, aby przez mgłę zobaczyć godzinę; otrząsnął się, jakby tym ruchem chciał rozprostować członki, zeszytywniał długim siedzeniem na twardych ławkach wagonu, i nieco żywszym krokiem, z podniesionymi barkami człowieka, któremu chłód i wilgoć dokucza, poszedł prosto przed siebie.

Mijał ulicę za ulicą, orientując się w wieczornym zmierzchu po oświetlonych wystawach sklepowych, którym przypatrywał się obojętnie, jakby nie ciekawego dla niego nie przedstawiały.

Przyspieszał kroku, pilno mu było stanąć jak najrychlej u celu. Wreszcie zatrzymał się przed jedną z kamienic, zeszedł kilka kroków z chodnika na bruk uliczny i spojrzął ku oknom parterowym, jakby się chciał przekonać, czy są oświetlone.

W oknach było ciemno.

Przed bramą stróż odgarniał błoto dużą miotłą, przestając co kilka chwil i spluwając, jakby z obrzydzeniem na taką „psią pogodę“.

Mężczyzna z torebką podróżną przez plecy dotknął jego ramienia i spytał:

— Nie wiecie, czy państwo Fatt są w domu?..

Głos miał od wilgoci ochrypnięty; stróż zdawał się nie rozumieć go dobrze.

— Państwo Fatt?—powtórzył.

— Tak, ci z parteru po prawej stronie.

Stróż wyjął fajkę, cyknął śliną przez zęby i, jakby obruszony takim zapytaniem, odparł opryskliwie:

— Ee!.. coby mieli być, kiedy oni tu już nie mieszkają.

— Wyprowadzili się?..

— A ino.

— Dawno?

— O, będzie cheba ze trzy kwartały, jakoś zara potem, jak młodsza pani z dzieckami na wieś wyjechała.

— To wyjechała? — poderwał ciekawie mężczyzna z podniesionym kołnierzem.

— To się wie, że wyjechała i ona, i dzieckok dwoje, do jakiejś tam wujenki czy kogo. Cholera tam ich wie!..

I nie usposobiony widocznie do dalszego dyskursu z nieznanym, machnął miotłą w powietrzu, zabierając się znowu do zmiatania.

— A nie wiecie, dokąd się starzy wyprowadzili?

— Co nie miałbym wiedzieć!.. juścić wiem.

— Gdzież, gdzież?..

— Mieszkają tera podle fabryki, bo staremu ciężko było dymać codzień tak daleko. Po nich to się wnieśli jedno państwo ze wsi. — Jakoś to oni się nazywają... Cóż, kiedy mają takie zatracone przezwisko, że ich nigdy dobrze spamiętać nie mogę!..

Ale nieznamy nie słuchał już dalszych objaśnień stróża, zawrócił się i odszedł, nie podziękowawszy nawet za informację.

Tęsamą drogą, którą przez lata całe codziennie wioził go elegancki kabriolet lub kareta, szedł teraz pieszo, po błocie, utykając, niefortunny przedstawiciel firmy Fattów, po swoim powrocie do miasta, z którego półtrzecia roku temu, w podobny wieczór słotny umykał, zostawiając poza sobą ruinę.

Owym passażerem trzeciej klasy, przekradającym się chyłkiem po peronie, wypyującym tak skwapliwie stróża o mieszkanie rodziców, był Karol Fatt, a w zmienionej fiziognomii, w zaniechaniem ubraniu trudno było poznać tego samego eleganta, który budził zazdość tłumy swoimi zaprzęgami, szykiem, wystawnością, życiem nad stan, tego niedosłego milionera, co się odgrażał, że przegalopuje wszystkich współzawodników i złoto łopata zgartywać będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JÓZEF CHEŁMOŃSKI.

(Profil krytyczny).

(Dokończenie)

Chełmoński zachwyił Paryżan. Zwłaszcza ów pierwiastek „barbarzyński“, którego się w nim dopatrywano, przyjemnie ich podrażniał. Artysta zyskał wprędce uznanie, stał się modnym i pokupnym, zdobył firmę i pieniądze. Jednocześnie znalazł się na niebezpiecznej dla swego talentu pochyłości!..

Kto tworzy podług gotowej recepty, kto posługuje się manierą, jak malarz pokojowy patronem, kto wreszcie nie ma innego celu nad systematyczne eksploataowanie swojej wziętości, ten obywać się może długo, choćby przez życie całe, bez odświeżania źródła swych natchnień. Inaczej z artystą tego rodzaju, co Chełmoński. Odtwarzać on może genialnie tylko wrażenia otrzymywane bezpośrednio. Biorąc je z drugiej

ręki, z przypomnień, ze sztucznych wzorów i t. p. wpada nieznacznie w dziwactwo, w przesadę, w karykaturę.

Tej przepaści blizkim już był nasz artysta. Realizm jego postaci z surowego poczynął stawać się szorstkim, z szorstkiego—gburowatym. Schlebając smakowi paryżkiemu, przesadzał do niemożliwości w obrazach swych i rysunkach dozę owego „barbaryzmu“, za którym się ubiegano. Prace jego wydawały się Francuzom coraz bardziej polskimi, dla Polaków zaś były coraz bardziej — chińskie!..

Szkice umieszczane w *Figaro illustré* i innych tego rodzaju wydawnictwach, objawiają rozmyślnie ciężenie ku trywialności i karykaturze. Każdy chłop jest tam kołtuniasty, każde dziecko ma nogi angielską chorobą wykrzywione, każda baba przestrasza oczyma pięścią mężowską podbitami — ba, psy nawet są zawsze kaleki z przetraconą łapą, z wypelzłą sierścią, bez ślepią, ucha lub ogona!..

Jak do win przeznaczonych „na export“ dolewa kupiec alkoholu, aby je wytrzymałszemi uczynić, tak do utworów swych dla zagranicy dodawał artysta rozmyślnie pieprzu, papryki — wityriolu!.. Oddawna już zresztą wiadomo, że nigdzie Polacy nie mają takich olbrzymich wąsów i brzuchów, i nie piją tak zdumiewającej ilości trunku, jak we francuzkich i niemieckich powieściach!..

W początkach chroniły Chełmońskiego od upadku świeże jeszcze przypomnienia natury. Posłaniec konny („Z listem do sąsiada“) malowany w Paryżu, w r. 1881, niczem nie ustępuje pracom dawniejszym. I tu *słychać* dzwonięcie kopyt końskich po twardej ziemi, porwanie ściaganego uzdą konia, szelest odrzucanych grudek i sapanie zadyszanego psa, co biegnie obok w podskokach. Jest w tym obrazie ruch, pęd, werwa, tak nieodłączne od przedmiotu, a jednak tak rzadko spotykane na innych płótnach tejsamej treści. Tu widzi się, że ten koń naprawdę galopuje, przebiera nogami i posuwa się naprzód, a nie stoi w miejscu, pozując do „żywego obrazu“, jak to się dzieje często gdzieindziej.

Malowane również w Paryżu „Polowanie na wilki“ jest poprawne, ale nieco chłodne. Rzecz tu urodzona z namysłu, a nie z bezpośredniego, ognistego natchnienia. Nie brak tu niczego, co do sceny podobnej należy; jest śnieg, są sanki, jest trójka koni, wyciągniętym galopem pędzących, są wilki wreszcie, z których jeden, śmiertelnie postrzelony, koziółkuje w powietrzu—gdyby jednak na tem płótnie, zamiast Chełmońskiego, podpisał się, na przykład, Kowalski, niktby omyłki nie poznał.

„Polowanie na wilki“—któremu zresztą z punktu malarskiego nic zarzucić nie można—stwierdza pewne uspokojenie się artysty, pewne ostygnięcie temperamentu, który dotąd lawą wulkaniczną wybuchał. Może uspokojenie to spowodowały, zwykłą koleją, lata; może wywołały je warunki życia każące liczyć się z jutrem, z dochodami, z potrzebą zapewnienia sobie gniazda ciepłego na starość!..

Cokolwiekby, lepsze jest ustatkowanie się talentu, niż jego zdziczenie.

Lat temu trzy czy cztery zachodzi w życiu Chełmońskiego fakt, dla jego talentu zbawienny: artysta powraca do kraju.

Długo niezaspakajany głód wrażeń sprawia, że na wstępie zaraz okarmia się niemi chciwie, biorąc bez wyboru co mu pod rękę podpadnie. Uwidamia się przy tem wrodzony mu temperament nerwowy, namiętny, łatwo przerzucający się do ostateczności. Z tragicznej burzy przechodzi odrazu do sielankowego spokoju, nadmierną przesadę zastępuje krańcowym spokojem.

W rozwoju talentu artysty chwila to przełomowa. Poczyna się od niej nowy okres jego działalności, od poprzednich odmienny. Okres ten zapoczątkowały przed dwoma laty próby niepewne jeszcze i nieuświadomione; dziś patrzemy na zupełny już rozwój tego kierunku, który jest oryginalnym, nietylko odnośnie do Chełmońskiego, lecz i do całej w ogóle sztuki malarskiej.

Głównym znamieniem tego kierunku jest doprowadzona do ostatnich granic prostota: najpierw w wyborze przedmiotu, a następnie w użyciu środków artystycznych.

Artysta nie przeбира już tu w pięknościach przyrody, jak strojnisia w fasonach kapeluszy: podoba mu się ona w każdym ze swych przejawów, zarówno wyświętaczona przez wiosnę, jak i szarzyzną jesienną odziana. Maluje, naprzykład, kawałek łąki zażółconej kaczęncem, na której połyskuje niebiesko trochę wody z deszczu czy z wylewu, i to mu wystarcza za całą „kompozycją“. Kiedy indziej rozprowadza na płótnie dwie płaszczyny granatowe: ciemną taflę jeziora i niebo nocne, które się w niem przegląda, i z tego tworzy cały „pejzaż“.

Pierwsze zwiastuny nowego kierunku znalazły niechętnych. „Towarzystwo zachęty“ zamknęło przed niemi swe wrota... aby otworzyć je za to tem szerzej po upływie jednego roku. Krytycy przysięgli gryzli sprawozdawcze ołówki i przecierali szkła okularów, nie wiedząc, co robić z tym „fantem“. Publiczność wreszcie mijała obojętnie płótna nierozsławione urzędową pochwałą.

A jednak z tych prób, trochę dziwacznych lecz godnych uwagi estetyka, wyłoniły się niebawem takie doskonale i skończenie piękne dzieła, jak „Wiosna“, „Czajki“, „Wieczór księżycowy“, „Noc“ i t. d. Wszystkie one są pokrewne sobie, wszystkie starają się jaknajmniejszą ilością środków umieścić na płótnie jaknajwięcej tego pierwiastku niepochwytanego, który stanowi duszę przyrody. Oczym, zepsutym nadużywaniem wszelkiego rodzaju efektów, wydają się one w pierwszej chwili niedomalowane, niedomówione, beztreściwe; niechęć ta jednak, po głębszym wnikiwaniu w nową formę, ustępuje miejsca szczeremu zachwytowi.

Możnaby nazwać Chełmońskiego poetą nocy, tak mistrzowsko uroki jej otwarza. Rozpatrywał on z miłością wdzięki tej melancholijnej kochanki marzycieli i zropanzonych. Jego noce są pełne czarów... Jedne osrebrza białe światło księżycy, niby lampa o szkle mlecznym, inne są szare i tylko cokolwiek blaskiem gasnącej zorzy rozjaśnione; we wszystkich zaś pełno jakichś niepochwytanych subtelnosci, jakichś szeptów, szmerów, westchnień... Na jednym z tych czarodziejskich płócien ucho wrażliwe dosłuchuje się łopotu skrzydeł nocnego ptaka, który szybuje tuż ponad ziemią; na innym — chrzęstu opadających z sośniny igieł; na innym jeszcze — miękkiego szelestu biegających po piasku królików, które igrają w blasku księżycowym...

Jak wyborną i prawdziwą jest złotawo-niebieska barwa powietrza w pejzażu, przedstawiającym wschód księżycy ponad lasem! ten pejzaż pokazuje nam pierwszy lepszy kawałek zarośli, zpoza których wytacza się złoty krąg księżycy. Nic tu wyszukanego, wybranego, wyjątkowego; trochę zwyczajnych drzew, takichże nieba i takiejże ziemi: oto wszystko. Możnaby wskutek tego twierdzić, że właśnie owa barwa, wyrażająca doskonale nastrój chwili, stanowi istotną, artystyczną treść obrazu.

Do tegoż-samego rodzaju odnieść trzeba „Noc księżycową“, w której rzeczą główną jest wrażenie *ciszy*, przez obraz wywierane. Księżycy tu nie widać; o obecności jego świadczą tylko ściany dworku ukazujące się w bladzieleniakawym świetle. Spokój nocny wyrażają drzwi szczelnie zamknięte i okienice zaryglowane; przejawia się on też w barwach stłumionych, które w jednym tylko miejscu rozjaśnia punktem świetlanym odbicie się promieni księżycy w metalowej klamce.

Wśród portrecistów dotąd jeszcze panuje pewien sztywny klasyccyzm formy, nakazujący im malować twarz ludzką w stanie największej możliwie nieruchomości, w której wszystkie rysy wygładzają się i stają poniekąd martwymi. Romantyczniejszy od nich portrecista natury, Chełmoński, utrwała na płótnie zmienne i najbardziej nawet przelotne wyrazy jej fizjonomii. W jego pejzażach widzimy — naprzemian naturę smutną, radującą się, zamysloną, ponurą, rozkochaną, i t. p.

Niekiedy chwyta on w locie takie błyskawiczne

efekty, jak, naprzykład, dmuchnięcie wietrzyka, które drobnymi zmarszczkami powierzchnią wody karbuje, czyniąc ją granatową, trwa zaś kilka sekund zaledwie. Tego rodzaju natychmiastowe fotografie natury dają właśnie obrazem artysty owo złudzenie życia, które je z pomiędzy innych wyróżnia.

Bardzo ciekawą w tym względzie jest notatka malarska (obrazem, z powodu niewykończenia, nazwać tego nie można), zatytułowana „Wieczór żabi“. Chełmoński usiłował tu wymalować... rehotanie żab w jeziorze. Zuchwałę to pokuszenie się tryumfem nie zostało uwieńczona, wydało jednak rezultat dobry pod postacią wybornej pochwyczonego efektu zorzy wieczornej, która, gasnąc nad jeziorkiem, ubiera i wodę i niebo w barwy opalowe.

Cennymi studjami są również dwa płótna, przedstawiające: „Krajobraz w słońcu“ i „Krajobraz bez słońca.“ Wprawdzie na pierwszym z tych płócien słońca nie widać, tak jednak ufamy ścisłemu pod tym względem artyście, że szarą barwę traw i ziół polnych w pełnym oświetleniu słonecznym przyjmujemy za naturalną i prawdziwą.

Zresztą, jeżeli chodzi o *plein-air* w najlepszym znaczeniu tego określenia, i o słońce, falami płynnego złota rozlewające się po pejzażu, to jedno i drugie olśniewa nas i zachwycza w obrazie p. t. „Do kościoła“. Z tego wspaniałego płótna bucha na widza żar letniego południa. Znakończone to zresztą obraz pod każdym względem. Ile tylko można wyrazić pędzlem „swojskości“, tyle jej promieniuje z twarzy i postawy idących przez zboże kobiet wiejskich, z łanów złotego, dojrzałego już i pod sierp napraszającego się zboża, z koloru nieba, po którym płyną białe, wełniste obłoczki, z maków wreszcie polnych, modraków, rumianku dzikiego, ostów i macierzanki, które gęsto obrosły kawałek gliniastego gruntu na pierwszym planie. W obrazie tym jest prócz tego pewna „święteczność“, pływająca, rzecz można, w powietrzu, niby zapach kościelnego kadzidła, i uprzytomniająca widzowi, że to Niedziela, dzień dla wieśniaka naszego wyjątkową otoczony poezją.

W zakończeniu tego szkicu pobieżnego zapisuję okoliczność ważną i cieszącą: najpiękniejsze obrazy na zbiorowej wystawie Chełmońskiego opatrzone są datą: roku 1890-go.

Znaczy to, że artysta wstąpił w epokę najpiękniejszego rozkwitu swego talentu i że, zbliżywszy się do źródła swych natchnień artystycznych, długo jeszcze może zeń czerpać, ku własnej i społeczeństwa swego chwale.

Wiktor Gomulicki.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż w Maju 1890 r.

Jak się odbył w Paryżu dzień 1-y Maja?—Następstwa.—Wymysły.—Potrójna ósemka.—Wybory w Akademii Francuzkiej.—Odroczenie —Dramat w hotelu przy ulicy des Mathurins.—Co jest wymysłem, a co prawdą w tej zbrodni?—Doroczna wystawa Sztuk Pięknych.—Pola Elizejskie i Pole Marsowe.—Artyści polscy na wystawie w pałacu Przemysłowym na Polach Elizejskich.—Francuzi i artyści innych krajów—Najświetniejsze obrazy.—Munkaesy i jego sufit do Muzeum Historii Sztuk Pięknych w Wiedniu.—Bibliografia: Kobiety piszące we Francji (dokończenie).

(Dokończenie).

W wydziale rysunków, kartonów i akwarelli wymienim:

Panna Duchńska Helena, —portret p. de Lessepsa (syna) — Reichan Stanisław — Flirt i Przyogni — Reyner Mieczysław, —Portret panny *** studjum, pastelami.

W wydziale szytychów i litografii: sam tylko jeden, ale dzielny, — Jasiński, z dwoma wybornymi szytychami (*aqua forte*) według G. Crayera i A. Dürera,

W wydziale architektury: Lewicki Edward Michał (Warszawiak)—rysunek Oficyn Zamku le Creully (Calvados) we Francji.

Jak się pokazuje z tej listy naszych artystów, siła jest wezwanych, ale, niestety, jeśli się to przesieje przez sito, nawet miernej gęstości — niewiele zostanie wybranych. Prawda, młodzi tu stają górą: Kossak i Mencina Krzesz w malarstwie piękne nam robią nadzieje; ale, czy to zmęczenie, czy może ta odwieczna drzemka homerowska—dosyć, że najmilsza panna Bilińska nie utrzymała się na swem stanowisku. Zapewne, portret wystawiony jest dobry, bardzo dobry, ale tego nie dosyć, i od takiej artystki, jaką jest panna Anna, mamy prawo wymagać czegoś więcej — czegoś lepszego.

W rzeźbiarstwie zawsze jesteśmy spóźnieni — nie mówię nic o taneczniczy p. Rygiera, bo i cóż mówić o taneczniczy, która nie tańczy? P. Marcinkowski widocznie postępuje — medalion Paderewskiego wybory. P. Reichan pocieszył nas rysunkami przeznaczonymi do przeglądu ilustrowanego paryżkiego, a nadewszystko Jasiński, swemi *acqua fortami*. Skończony to już artysta, — zajmuje miejsce opróżnione po Redlichu.

Tutejsi malarze: Bouguéreau, Bonnat, Gérôme, Chaplin, i t. d., są to artyści znani już szerszej publiczności, i byłoby zbyt rzeczą powtarzać dawniejsze pochwały i uwagi. Z Bonnat'em zresztą stało się, jak z panną Bilińską: *dormitat Homerus*. Czy to wina modelu — czy artysta miał chwilę znużenia, dosyć, że wielki, oficjalny portret p. Carnot'a jest fatalny. — Za moich młodych latek przedawano nam za grosz lub za dwa ślicznych panów i panie z pierników. Zachwycęło to nas wówczas; ale dziś, widząc prezydenta Rzeczpospolitej w tejsamej postaci, odchodzimy z żalem na stronę, myśląc, że i najlepszy artysta może zbłądzić czasem.

Prawdziwą ozdobą wystawy — są trzy obrazy, tak: trzy — nie odstępują od słowa: 1-o Portret zachwycający, siedzącego mężczyzny, portret jakiego dawnośmy tu nie oglądali, gdzie tyle, i dobrych i znakomych widzimy coroku, przez p. Juliusza Lefèbvre'a; 2-o Bateria artylleryi gwardyi (z ostatniego cesarstwa) prowadzona na pozycyą, co koń wyskoczy, przez Edwarda Détailla'a. 3-o Wścigi rzymskie na wozach, przez Hiszpana, Ulpiana Checa („Czeka“). — Są to trzy prawdziwie arcydzieła.

Nie mówię nic więcej o portrecie Lefèbvre'a, bo trzeba go widzieć na własne oczy, aby dostatecznie ocenić: tyle tam jest delikatnego odczucia i artyzmu w wykonywaniu; wszelki opis pozostałby jeszcze daleko w tyle za rzeczywistym wrażeniem.

Détailla'a Bateria, ogromne płótno, z krajobrazem, zasypanym oddziałami wojska, w pełni jakiejś bitwy, jest to wspaniała karta, i może główna, najpierwsza, wśród tak licznych dzieł tego malarza. Pierwsze postacie, konie naturalnej wielkości, wałą w całym pędzie na patrzącego. Czarny koń, na którym tak dzielnie siedzi kapitan dowodzący baterią, co do słowa, na pierwszym planie, wylatuje z ram obrazu, tak, że widz w pierwszej chwili, chce już umyć mu z drogi — wszystko tu: kompozycja, rysunek, koloryt, mistrzowskie. — Jest to prawdziwe *Capo d'opera!*

Hiszpan Checa w swoich wścigach nie ustępuje kolledze Francuzowi. I tutaj doskonałość techniki stoi na wysokości pomysłu artysty. Te wścigi wozów rzymskich sprawiają na widzu piorunujące wrażenie. Co za ruch, co za zapal, co za furja! To prawdziwe wścigi. Pierwszy wóz na zwrocie do mety, zaprzężony w cztery białe konie, wywrócił się, i woźnica rzucony we środek, chce się ratować, jak może; — ale tu już drugi wóz z porządku nadbiega i grozi roztrzaskaniem się. Widzowie, przerażeni, tracą oddech w piersi. Obraz sprawia wrażenie rzeczywistej grozy. Mistrzostwo kompozycyi i wykonania niezrównane. Dzieło to podbija widza i zmusza go do przyznania, że pomimo strasznych wysiłków niedoładności, głupoty i nowatorstwa — jeszcze sztuka nie zginęła.

Jeszcze zapewne, oprócz tych trzech wybra-

nych, wiele pięknych, ciekawych i wyborych obrazów, ale w tych trzech streszcza się wszystko, co jest i być może najsumienniejszym wymaganiem sztuki — dlatego zostają przy trójce!..

Na zakończenie muszę określić czytelnikom wrażenie, jakie na mnie i na wielu ludziach sprawił sławny sufit *Munkacsego* przeznaczony, jak już wiecie zapewne, do Muzeum historii sztuki w Wiedniu. Zajmuje on i ściąga uwagę najpierw swoim ogromem — ma bowiem sto metrów kwadratowych. Zamalować taki przestwór, to już rzecz niemała; zamalować, aby odpowiedzieć zadaniu artystycznemu, — prawdziwie już wielka. Przeznaczony na sufit do ogromnej sali obraz ten postawiony pionowo, traci zapewne wiele ze względu na fałszywą perspektywę. Nie przeszkadza to jednak wyobrazić sobie ostatecznego efektu.

Naturalnie, wszystko jest dekoracyjne w tym obrazie: architektura, — pewien rodzaj portyku, zapewne świątyni sławy, pośród którego unosi się chwała w postaci nagiej kobiety, owiniętej dość ciężką draperią — stanowi przedmiot nie nowy w swym rodzaju; — przypomina fantazje nieśmiertelnego Tiepola — bez jego jednak lekkości i przejrzystości.

Najwięksi artyści Renesansu, rozrzućeni w oddzielne grupy — zapełniają próżne kąty tego portyku, a wśród nich, na boku, artysta umieścił własny swój portret. Tu Rafael obok Leonarda da Vinci, tam, na drabinie wspina się w górę Paweł z Werony. Największe światło rozlał artysta na grupę, wśród której Tycyan z uczniami studjuje nagą postać kobiety. Ponad sławą, o której mówiliśmy, tonąc w błękitnie nieba, unoszą się dwa aniołki. Niestety! Po tych aniołach, których malowali tacy mistrzowie jak: Rafael, Weronez, Corregio i Murillo — porywać się za malowanie ich w nasze czasy, i w tej atmosferze, gdzie się gotuje i kipi koniec naszego wieku, — jest to zadanie trudne, a, jak nam dowodzi obraz *Munkacsego*, niepodobne do wykonania, z zupełnym, bezwarunkowym powodzeniem.

Jakkolwiekby, jest to ogromne i trudne zadanie: stworzyć takich rozmiarów doskonały obraz. *Munkacsy*, wyszedł z tego zadania dosyć szczęśliwie, — a jeśli są jakie usterki, jeśli brak czego daje uciec — powiedzmy starem naszym przysłówiem: „I któż bez *ale*, Panie „Michale!“

A teraz podaję dokończenie *Bibliografii kobiet piszących we Francji*, rozpoczętej w liście poprzednim.

Ary Ecilan — pseudonym wielkiej pani, dotąd jeszcze niedostatecznie zdemaskowany. O jej powieściach: *Roland*, — *Le Roi de Tessalie* — *Une Attesse Impériale*, obszernie zdanie sprawy pomieszczone już było w korespondencji do „*Bluszcza*“.

Darcey Marya. — Powieść „*Le crime de la 5-e avenue*“.

Gyp, pseudonym hr. de Martel, z domu de *Mirabeau*. Prawdziwy talent pisarski i niesłychane zacięcie. Powieści i artykuły humorystyczne cenione i poszukiwane. W korespondencji do *Bluszcza* obszernie i po kilkakroć powtarzane zdanie sprawy.

Haller Gustaw, — pseudonym pani Gustawowej *Fould*. Jest to dawniejsza aktorka Teatru Francuzkiego, znana na tej scenie pod imieniem *Valérie*, dziś w separacji, czy rozwódzie z mężem. Kilka jaskrawych powieści i kilka mniejszych utworów dramatycznych, przedstawianych bez wielkiego rozgłosu, na drugo-i trzeciorzędnych scenach paryżkich.

D'Herbanges, pseudonym panny de St. Aignan. Znany ją tylko z artykułów umieszczanych w *Revue des deux mondes*.

Kado — pseudonym pani Wandy Kosteckiej. Nowy to literacki rekrut, jak mówią Francuzi — próbuje tłumaczeń z polskiego w „*Le Temps*“, i w mniejszych a jeszcze dostępnych przeglądach.

Louant, Klaudia, — jak dotąd, dość szczęśliwe próby w *Revue des deux mondes*. Znać na nich rękę męzkiego korektora.

Meunier Stanisława pierwsze swe próby ogło-

siła w przeglądzie dla rodzin: „*La presse pour les enfants*“. Przyszły następnie moralne powieści, dla dzieci i dla starych, uczciwe co do celu i formy. Dziś, przy tym pięknym końcu wieku — kryją się w cieniu.

Mirabeau, hrabina, — rodowa i wrodzona skłonność do pióra. Wiele rzeczy bezimiennych, rozrzuconych po rozmaitych przeglądach. W tej właśnie chwili, ogłasza p. M. ciekawą korespondencją Talleyranda z Orleanami.

Montgomery, G. de, poetka z prawdziwym talentem — tomik poezji, który się ukazał na świat przeszłego roku, ma całkiem nastrój, jakby męskiej liry, silną trzymaną ręką. Sully-Prudhomme oddał jej wielkie i zasłużone pochwały.

Pardo Bazan — redaktorka i właścicielka jednego z ważniejszych przeglądów hiszpańskich, zagorzała zwolenniczka Zoli i jego talentu. Stara się w swoim przeglądzie z niestrudzonym zapalem sprowadzić swoje rodaczki do otwartej czci pana Zoli. W tym kierunku, ale bezimiennie, często występuje w tutejszych przeglądach z artykułami, które przepelnia wyznaniem ślepej wiary w niemylność mistrza z Medanu.

Pitray, margrabina, Olga de; — urodzona hrabianka de Ségur, wnuczka po kądzieli sławnego generała Rostopczyna. Jak matka jej, pisze moralne powieści dla dzieci. Z powodu jej książki pod tytułem: *Mon bon Gaston Bluszcz* umieścił obszernie zdanie sprawy o niej i o jej pismach.

Poradowska Małgorzata, Belgijka rodem; o jej powieści pod tytułem *Yaga* — obszernie zdanie sprawy zamieścił *Bluszcz* przeszłego roku w swych szpaltach.

Rachilde, pseudonym pani Alfredowej Valette. Powieściopisarka obdarzona wielką łatwością pióra, ztąd często zaniedbana co do formy i czystości języka. Rozmówiona w psychologicznych studyach, tak dzisiaj modnych, czyni często bardzo subtelne spostrzeżenia i wywody — ubiega się bardzo za nadzwyczajnymi tytułami dla swych powieści, i w tem też jest największa jej oryginalność.

Roussellane, pseudonym baronowej d'Uxkul. Jedna z tych szczęśliwych śmiertelniczek, które *Pevue de deux Mondes* zaszczyca bezpłatną lokacją w swych łamach.

Rute, de — jest to wnuczka Lucyana Bonapartego. Matka jej, księżniczka Letycya, wyszła za mąż za Irlandczyka Tomasza Wyse, członka parlamentu i posła angielskiego w Hiszpanii. *Primo voto* była ona poślubiona hr. de Solms, *secundo* za Urbanem Rattazzim, prezesem rady ministrów we Włoszech, za panowania Wiktora Emmanuela, a nakoniec *tertio voto* — za Hiszpanem Don Luis'em de Rute, zmarłym przed paru laty.

Dawniej jaśniała wielką pięknnością i w czasach ostatnich Cesarstwa odgrywała rolę wybitną kobiety światowej, rozumnej i zalotnej. Jej pokrewieństwo z domem panującym, chociaż nie przyznawane urzędownie, bo konstytucya cesarska wyłączała z praw do tronu potomstwo Lucyana Bonapartego — to pokrewieństwo przecież dawało jej powód do protestacji i do żywej opozycji, które znajdowały odgłos w wielu salonach paryżkich; a piękna pani, sprytna, ruchliwa, — wodząca za sobą cały orszak literatów, artystów, publicystów — i wszystkich światowców owego czasu, trzymała dom otwarty na wielką skalę wydatków, chociaż fortuna nie odpowiadała temu. Często więc się zdarzało, że w tej akademii polityko-literackiej więcej było dla uszu i dla oczu, niż dla żołądka; ale przebiegła i ponętna pani umiała się zawsze wykreścić sianem. Dziwne opowiadano rzeczy o tych wieczorach, co nie przeszkadzało wcale, że towarzystwo męzkie składało się z największych znakomitości piśmiennictwa, sztuki i najwyższego *high life'u*.

Wśród tej gwarnej i niespokojnej atmosfery pani Wyse-Bonaparte-Solms-Rattazzi-Rute miała czas pisać wiele i trzymać rozbudzoną wokoło siebie ciekawość. Jak zwykle, pierwsze próby były poświęcone poezji. Tomik ten — dziś wielka rzadkość bibliograficzna — *Cara Patria!* tak przypominał żyjącego wówczas jeszcze Lamartine'a, iż posadzano starego wieszaka o współpracownictwo. Kilka powieści, kilka sztuk dramatycznych, pomiędzy temi *L'aventurière des colonies*, miało

wielki rozgłos w swym czasie, z powodu jakoby przycinków i docinków skierowanych do wydatnych osobistości towarzystwa paryżkiego. W czasie ostatniej wojny rzadko bawiła we Francji pani de Rute; najczęściej gościła w Hiszpanii, gdzie przed dwoma laty miała sławny proces z powodu książki wydanej w Paryżu o literaturze i społeczności madryckiej, a ogłoszonej najpierw w przeglądzie pani Adamowej *La Revue nouvelle*.

Jako autorka, pani de Rute nie odznaczyła się nigdy oryginalnością i głębszym polotem myśli. Są to przyjemne fraszki, *aurea otia* światowej kobiety; styl jednak jest czysty, jasny i poprawny, jakaś delikatność wieje z tych kartek, pisanych bez wielkiego namysłu i ukazuje kobietę dobrze wychowaną. „Ma ona tyle czystego smaku — powiedział Ed. About — i łączy w sobie tyle wdzięku prawdziwej kobiecości, że zapomina się przy nich o braku wszelkiej a wszelkiej oryginalności“.

Ségalas Anais, z domu Ménard. Urodzona w r. 1813, jest to dziś dziekan niewieściej falangi. Pierwsze jej poezye *Les Algériennes* ukazały się na świat w r. 1831; za niemi poszły inne; ostatnie są *Les Violettes et les Abeilles* z r. 1853, kilka sztuk dramatycznych, kilka powieści, kilku salonowych operetek, ogromna liczba artykułów rozrzuconych we wszystkich dziennikach i przeglądach — stanowi poważny wcale zbiór pism tej pani. Artykuły te zebrane, wyszły w r. 1858 pod tytułem: *Contes du nouveau Palais de Cristal*. P. Ségalas dodziśnia pisze jeszcze i pracuje. Należy ona — powiada jeden z krytyków tutejszych — do rzędu tych pisarzy, rzadkich już dzisiaj, których liczna przecież klientela zadawalnia się prostotą wzruszenia, grzecznością intrygi i budującym opowiadaniem. I czegoż więcej wymagać?

Sénart Klara — pseudonym pani Ludwikowej Figuiet. Powieściopisarka, jakich liczba codziennie prawie wzrasta w Literaturze Francuzkiej, chociaż przewidzieć łatwo, że nim ten wiek dobiegnie do mety, dzieła ich przejdą do tej strasznej toni zapomnienia — gdzie już tyle utonęło książek! Trudno jest doraźnym sądem przecinać ten węzeł gordyjski i wyrokować o wartości powieści, którym stanowisko uczonego męża i położenie towarzyskie zbyt może łatwo otworzyły wejście do *Revue des deux Mondes*. Jakkolwiekby, są to powieści niegrzeszące przynajmniej pod względem moralności.

Summer Mary, Angielka, wdowa po ś. p. Julianie Mohlu, orientaliście i profesorze niegdyś perskiego języka w Collège de France. Za życia jeszcze męża słygnęła ze swego salonu, który był czas jakiś pewnym rodzajem uprzywilejowanych posiedzeń literacko-swiatowych. Mohl był rodem Niemiec ze Sztutgardu; naturalizowany we Francji, mimo wrodzonej szorstkości i gburowatości, dzięki protekcji Księżny Orleańskiej (matki hr. Paryża), doszedł do znakomitego stanowiska w przybranej swej ojczyźnie. Wdowa po nim — Angielka, jak mówiłem, z pochodzenia — obdarzona zmysłem asymilacji, rozumna, posiadająca rozległe ukształcenie, łatwo przyswoiła sobie przymioty umiętętnego prowadzenia salonu naukowego, którego była ozdobą naprzód, a wreszcie samowładną panią. Za życia już męża występowała czynnie we wszystkich sprawach dotyczących się Literatury Wschodniej, a po śmierci jego, zamknawszy salon, poświęciła się zatem studyum lingwistyczno-teologicznym nad Buddazmem.

Najważniejszem dziełem pani Summer (Mohl), są: *Contes et légendes de l'Inde Ancienne* z obszerną przedmową p. F. Ed. Foucaux, profesora w Collège de France i dawniejszego ucznia jej męża — i „Historia Buddhy Sakija-Muniego od urodzenia aż do śmierci“. Złośliwe języki utrzymują, że stare papiery nieboszczyka męża były tą kopalnią w Potosi, z której wyszły wszystkie te skarby; nie można wszakże odmówić pani Summerowej zasługi, jaka się jej należy, chociażby była jedynie tylko wydawcą tak ważnych i poważnych prac męża — tembardziej, że sprawdzenie ubliżającego przypuszczenia, opierającego się jedynie na głośnych opowiadaniach osób zazdrośnych i nieżyczliwych, jest trudne.

Van de Wiele Małgorzata — jest to jakby poratymczy talent, idący w parze ze zdolnością i łatwością pani Lud. Figuiet, i równie też dopuszczony do beatyfikacji przez *Revue des deux Mondes*.

Wohl Janka — znamy tylko jej książkę pod tytułem: *Fr. Liszt souvenirs d'une compatriote*. Jest to wieniec nieśmiertelników, złożony na grobie sławnego muzyka ręką wdzięcznej uczennicy i, jak sama pisze — rodaczki zmarłego.

Na zakończenie dodać należy słów kilka, o „Przeglądzie Teozoficznym“, redagowanym przez panią Blavacką (?) i hrabinę Gaston d'Adhemar. Ma on swoją specjalną publiczność i wyłącznych czytelników, wiernych tej zawiłej trochę sprawie, która się zowie teozofią, t. j. nauką o bóstwie! Na szpaltach tego przeglądu odznaczyły się wytwornością literacką, ciekawymi poszukiwaniami źródeł historycznych i studjami nad zagraniczną polityką, panie: baronowa Blazé de Bury, Marya Drouart i Marya Anna de Bovet.

N. B. Do przeszłego listu wcisnęła się małeńka pomyłka. *Pani de Bony, nowa baronowa* (czytaj) *de Baulny, baronowa — nie nowa*, bo to stara i dobra szlachta. — Pod nazwiskiem p. *Ackermann* zamiast „Marie“ — czytaj: *Marie*.

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą o zamierzonym wprowadzeniu wykładów higieny do gymnazyj żeńskich. Wykłady tego przedmiotu powierzone będą kobietom lekarkom.

— Lekarek z patentami rządowymi znajdowało się w Kossyi w roku zeszłym 695. Z tych praktykowało przy zakładach naukowych, przy szpitalach i lecznicach 184; praktyką prywatną zajmowało się 229. O pozostałych 285 niewiadomo: czy się zajmowały leczeniem, czy też obrały sobie inną drogę pracy? Przedstawia to 40 procent. W Petersburgu jest w służbie zarządu miejskiego kobiet lekarek 11, oddających się leczeniu dzieci i kobiet za znacznie niższem wynagrodzeniem, niż zwykle honorarium lekarzy mężczyzn, i ztąd praktyka ich w klassach mniej zamożnych znacznie się rozszerza. Każda z tych lekarek udzielała porady lekarskiej u siebie w domu około 4.000 chorym, głównie kobietom i dzieciom, poza domem leczyła około 1.000 osób.

— Na jarmark welniany w Warszawie dostawilo welnę 29 właścicielek ziemskich, a to: Bogusławska Wiktorya z Goleszowa, Borzewska Zofia z Młodzieszyna, Bernstein Balbina z Woli Okszewskiej, Cybulska Julia z Bieniewic, Dembowska Adela z Nacpolska, Dębska Tekla z Przybujewa. Dziewanowska Marya z Grodkowa, Dralińska Filomena z Lutomerzyna, Gąsowska Marya z Miastkowa, Hempel Helena z Horoszczyń, Huszarzewska Tekla z Woli Rembowskiej, Lewicka Marya z Regowa, Matuszewska Apolonia z Bratoszewic, Małowiejska Matylda z Lasocina, hr. Mielżyńska z Rozsoszy, Niemirowiczowa Adolfin z Łękawicy, Ojrzanowska z Kędzierzanic, Olendzka Salomea z Szaniaw, hr. Ostrowska Ludwika z Korczewa, hr. Ożarowska Adela z Brzózy, hr. Potocka Ludwika z Międzyrzecza, hr. Potulicka Marya z Obór, Przanowska Zofia z Niwic, ks. Radziwiłłowa Pelagia z Hiczy, Ryxowa Izabella z Prażmowa, Szeliska Paulina z Futeczyńska, Węglińska Marya z Lackiego Stoku, Zielińska Wiktorya z Gradowa. Welna prowadzona na Świętojański jarmark warszawski dla zbytu zagranicznego pochodzi przeważnie z owiec poprawnej rasy merynosów: świadczy to zatem, że tyle większych gospodarstw ziemskich wyższej kultury prowadzonych jest przez kobiety.

— Do wiadomości podanych już przez nasze pismo, a to: iż nauczycielki emerytki zostaną umieszczone na stały pobyt w Królikarni, a część *Schronienia* czynna, z przełożoną, p. Helwich, na czele, osiedli się od 1-go Lipca przy ulicy Dłu-

giej N 9, gdzie, jak poprzednio, będą przyjmowane nauczycielki, tak na czasowy, jak stały pobyt, i gdzie również kantor pomieszczenia nauczycielek funkcyonować będzie, jak dotychczas — dodajemy jeszcze, że wśród nauczycielek objawiło się, tak z pobudek filantropijnych, jak z uwagi na możliwość korzystania z dobrodziejstw *Schronienia*, gorące zajęcie się pomyślnością tej pożytecznej i tak blisko interesującej je instytucji. Odezwa *Radny Opiekunczej*, podpisana przez wice-prezesową p. Emilią Blochową, i dyrektora *Schronienia* ks. Chełmickiego, dodaje, że cele i kierunek *Schronienia* pozostają niezmiennione.

— W Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych mieści się na ogólną liczbę 200 wychowawców 73 dziewcząt głuchoniemych a 10 ociemniałych. Obok tego do klas Instytutu przy ulicy Piwnej uczęszczała pewna liczba dziewcząt. Patenta z ukończonego kształcenia się w oddziale głuchoniemych otrzymały: Maryanna Porzębska i Felicja Rymaszówna. W ubiegłym roku szkolnym wprowadzono w oddziale dziewcząt, obok lepienia z gliny, rysowanie na porcelanie.

— Warszawskie Towarzystwo Jedwabnicze, zatwierdzone 10 Grudnia r. bieżącego przyjmuje do składu swego, bez żadnych wyłączeń co do stanu, tak kobiety, jak mężczyzn. Składa się ono z członków rzeczywistych, honorowych i protektorów. Członkami rzeczywistymi mogą być osoby chcące uczestniczyć w zajęciach Towarzystwa i popierać jego cele; na członków honorowych wybiera Towarzystwo osoby znane ze szczególnej użytecznej dla Towarzystwa działalności; członkami protektorami zostają ci, którzy, wstępując do Towarzystwa, złożą na cele jego rozwoju niemniej, niż 300 rs. Członkowie rzeczywisci wnoszą przy przystąpieniu do Towarzystwa, bądź jednorazowo rs. 100, bądź corocznie w pewnych terminach po rs. 5; obok tego przy wyborze placą wpisowego rs. 1. Jakim może być dla kraju naszego pożytek z rozwoju jedwabnictwa, jak zajęcie się niem przypada na dział pracy pań wiejskich, — o tem pismo nasze pisało wielokrotnie — wskazując zawsze kobiecie, że może tu pracować z pożytkiem dla siebie i społeczeństwa. O względy klimatyczne niema się co troszczyć, bo wszędzie, gdzie rośnie morwa, a ta najdoskonalej wyrasta u nas pod gołem niebem — jedwabnictwo może się rozwijać, byle to zrozumieć i ręce chętne do pracy przyłożyć. Towarzystwo będzie dostarczało zdrowych jajeczek jedwabników po cenach możliwie niskich, będzie udzielało potrzebnych wskazówek będzie kupowało wyprodukowane kokony, tak na rachunek Towarzystwa, jak pośrednicząc w sprzedaży. Otwiera się zatem dla pań wiejskich nowe źródło zarobku.

— Siódma szwalnia Towarzystwa Dobroczynności otwartą została z pomieszczeniem na 140 dziewcząt.

— Towarzystwo opieki nad zwierzętami postanawia utworzenie oddziału pań opiekunek.

— Hr. Cecylia Zyberg Platerówna zamierza otworzyć w okolicach Warszawy oddział swego rękodzielniczego zakładu przy ulicy Pięknej, a który nazwać można instytucją użyteczności publicznej, tak tam dobrze i porządnie, ze względem na praktyczne życia naszego potrzeby prowadzoną jest nauka najpotrzebniejszych rzemiosł kobiecych. Do wspomnianej filii wiejskiej przyjmowane będą dziewczęta od skończonych piętnastu lat wieku, a przedmiotem nauki będą zajęcia z zakresu wiejskiego gospodarstwa kobiety: ogrodnictwo, hodowla drobiu, wyrabianie serów, masła i tym podobne prace gospodarstwa wiejskiego. Środki na utrzymanie zakładu czerpane będą ze sprzedaży wyrobów gospodarstwa tamże prowadzonego, z opłat od uczennic i zasiłku założycielki. Zakład taki jest potrzebnym, ponieważ na wsiach skarżą się na brak dobrych pomocniczek pani domu w tym zakresie — dobrych, odpowiednio do przedmiotu ukształconych gospodyń i p. Zygmunt Głogier podniósł niedawno kwestyą tę w *Kurjerze Warszawskim* pod tytułem: *Błędne drogi*, a pismo nasze, zawsze i stale wyrażające te same poglądy, rzecz tę powtórzyło w Nr 20 (Kronika działalności) a następnie rozebrało ją ob-

szerszej w Nr 25, w artykule *Gospodarstwo kształcenie kobiet*.

— P. E. Radłowska napisała bardzo pożyteczny podręcznik w dziale pracy kobiecej, niemałego znaczenia: *Ogrody czyli opis prowadzenia sadu, ogródka owocowego, ogrodu warzywnego, inspektorów oraz wskazówki użytkowania owoców*. Autorka, która długi czas przebywała w Szwajcaryi i we Francji, napatrzyła się jak tam umiejętnie potrafią ludzie ciągnąć korzyści z gruntu oddanego uprawie owoców, i dzieli się też wiadomościami posiadaniem z naszym ogółem. Pani ta uczyła się ogrodnictwa w Genewie, w tamtejszej *Szkole Ogrodniczej*; że przecież czuwała w niej myśl użytkowania nabytych wiadomości w kraju, starała się objaśnić co do różnic, jakie tu wnoszą względy klimatyczne. A poczciwie obywatelskie serce snadź bije jej w piersi, bo zaraz w przedmowie porusza myśl, aby „uznawszy potrzebę podniesienia u nas tej zaniedbanej gałęzi pracy“ (ogrodnictwa), zaszczyć zamówienie do niego w ludzkie wiejskim. W tym celu też żąda zakładania przy sadach dworskich szkółek, co, jak słusznie utrzymuje, nie jest rzeczą ani zbyt kosztowną, ani zbyt wiele pracy potrzebującą, a tylko przy ich posiadaniu dwór będzie mógł udzielać młodym drzewek gospodarzom wiejskim. Szwajcar po całotygodniowej pracy zarobkowej, czy w polu, czy w fabryce, z rozkoszą oddaje się w niedzielę zajęciom w ogródku swym małym, i dla czegożby u nas tak być nie mogło, gdyby wdrożono ludowi naszemu zamiłowanie podobne? Książka, traktuje szczegółowo działy ogrodnictwa warzywnego, sadownictwa, uprawy kwiatów, jarzyn z niezaniebanym nigdy względem na korzyści realne, które w tym dziale pracy mogą się kojarzyć z wielkimi przyjemnościami, mogą dostarczyć wielce miłego zajęcia, stającego się nieradko zamiłowaniem. Autorka sama posiada je niewątpliwie: czuć to w każdym wierszu jej pożytecznej książki, w której usiłuje wykazać na wzorach zagranicy, nie pomijając przecież nigdy względu na nasz klimat, co ogrodnictwo przynieść nam może w dobrobycie i przyjemnościach. Książka wydana przez Gebethnera i Wolffa, nosi podpis: E. Radło.

— Bazar pracy kobiecej, otworzony w Warszawie (przy ulicy Wierzbowej), wywołał założenie podobnego zakładu w Lublinie, a obecnie Radom zamierza pójść za tym przykładem, jak to donosi *Gazeta Radomska*, mieszcząc wiadomość tę na naczelnem miejscu pisma, z powodu, że „przedsiębiorstwo to ma doniosłe znaczenie dla licznych a biednych pracownic, wyzyskiwanych obecnie niemiłosiernie“. Bazary takie, nietylko usuwają pośrednictwo między pracującą a przedsiębiorcą, ale dają tej pracującej możliwość pracowania w domu, co jest kwestyą bardzo ważnego znaczenia dla dobrobytu i moralności rodzin. Bazar radomski będzie otwartym w połowie Lipca, w domu Pahla i na wzór bazaru warszawskiego przyjmować będzie w komis wyroby pracy kobiecej i zarazem zamówienia od publiczności na przedmioty prace takiej, a mianowicie: bieliznę kobiecą i męzką, całe wyprawki dzieciune, krawaty, ubieranie kapeluszy, wyroby pończosznicze. Bazar radomski tem się tylko różnić będzie od warszawskiego, że zamiast grona uczestniczek, prowadzić go będzie osoba pojedyncza, co przecież nie czyni żadnej różnicy w tem, co stanowi główny cel bazaru, tylko trzeba tu odezwać się do kobiet radomskich temsamem słowem przestrogi, co do warszawskich i lubelskich, a to: aby kobiety zamożniejsze nie zastępowały miejsca niezamożnym, potrzebującym pracy jako chleba, jako środka utrzymania. Sama instytucja nie może tu wydawać sądu: rzecz to niemożliwa; ale powtarzamy te same wyrazy, przez które pismo nasze odzywało się do kobiet warszawskich i lubelskich: „Sądź wedle Boga i sumienia“.

— Szwedka, Konkordya Löfoing, została wysłana kosztem rządu za granicę z celem badania systematu wychowywania dzieci moralnie zaniebanych, sierot i wogóle wszystkich dzieci, które wychowują się pod opieką rządu. Szwedka podróżniczka udała się najpierw do Paryża, gdzie przy poszukiwaniach czynionych poznała się ze sferami wychowawczymi Francji i, zaproszona

przez nie, miała kilka odczytów o fizycznym wychowaniu młodzieży, za które francuzkie ministerium wychowania ofiarowało jej medal za usługi.

— Sześć nauczycielek rządowych szkół w Danii otrzymało od rządu stypendya na podróż zagranicę z celem badania tam przyjętych metod dla ludowych szkół dziewcząt.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu opracowany został projekt urzędzenia stacyj meteorologicznych na wszystkich ważniejszych stacyach kolejowych i przystankach żeglugi parowej.

— W Moskwie odbędzie się między d. 27 Września a zakończy d. 27 Października wystawa azjatycka. W jesieni odbędzie się w tymże mieście wystawa bydła i jednocześnie zjazd właścicieli gospodarstw mlecznych, oraz hodowców i kupców bydła.

— W Kazaniu otwarto wystawę przemysłowo rolniczą. Plac wystawy obejmuje 240 sążni kwadr. przestrzeni; budowle tam wzniesione oraz przestrzeń między nimi urządzone ozdobił. Koszt tego wyniósł 50.000 rs.

— Warszawskie Towarzystwo Sztuk Pięknych zaprosiło jako znawców do wyboru dzieł sztuki na drugi tegoroczny zakup do rozlosowania pomiędzy członków, artystów: p. p. L. Biedrońskiego, J. Brodowskiego, R. Szwojnickiego, K. Millera, St. Jasińskiego, Fr. Lanciego. Na zakup ten dostarczono wiele prac, między nimi odznaczają się niektóre wyższą wartością artystyczną. Wystawa Chełmońskiego została zamknięta dnia 23 b. m. Do reprodukowania na premium dla człon-

ków Towarzystwa wybrano obraz Zdzisława Jasińskiego: „Chora Matka“.

— **Kłosa** zamieściły w ostatnim numerze smutną wiadomość, że wydawnictwo to ustaje. Ubył czytelnikom naszym jeden organ dobry i pożyteczny, prowadzony przez zacnego i zasłużonego na polu piśmiennictwa p. Ant. Pietkiewicza (Adam Pług) który przecież nie przestaje pracować i pióro jego będzie niemniej jak dotąd służyło pocziwie literaturze naszej.

— **Komedia czeskiego poety:** Jarosława Vrchlickiego: „W becze Dyogenesa“ została przyjęta na repertoar naszego teatru.

— **Zarząd osad rolnych** i przytułków rzemieślniczych opracował ustawę dla szkoły praktykantów wiejskich we wsi Sobieszynie, którą na ten cel zapisał s. p. hr. Kicki. Towarzystwu Osad Rolnych. Projekt ustawy został przesłany do Petersburga dla zatwierdzenia ministeryalnego. Szkoła kształcić będzie sposobem praktycznym młodzież wiejską, pragnącą się poświęcić agronomii z myślą pracowania następnie otrzymując wiadomości praktyczne. Zakład ten, jakkolwiek z mocy zapisu ofiarodawcy zostawać będzie pod kierunkiem zarządu Osad Rolnych, nie ma nic wspólnego z wymienioną instytucją poprawczą; otwartym on będzie zaraz po zatwierdzeniu przez rząd ustawy.

— **Na rzecz utworzenia Muzeum Rzemieślniczego** złożono dotąd 650 rs., nadto znalazł się ofiarodawca, aż dotąd nie wymieniający swego nazwiska, który z chwilą otwarcia się Muzeum przyrzeka złożyć na rzecz jego sumę znacniejszą.

— **Czeski uczoney**, prof. Hora, autor słownika polsko-czeskiego, pracuje obecnie nad słownikiem czesko-polskim, co stanowić będzie ważny przyczynek do ułatwienia czytelnikom naszym poznania literatury czeskiej, słownik doszedł już do litery M.

— **Jubileusz** czterechsetletniego odkrycia Ameryki poddał rządowi włoskiemu myśl zgromadzenia i wydania wszystkich dokumentów odnoszących się do pierwotnej historii Ameryki. Dokonać tego ma osobna na ten cel wytworzona komisya, pod przewodnictwem ministra oświecenia.

— **We Włoszech** odsłonięto w miesiącu bieżącym sześć pomników wielkich mężów uczonych i obywateli z czasów ostatnich. Rzeźbiarz Monteverde w Genui zajęty jest pracą nad pomnikiem słynnego filantropa genueńskiego, księcia Galliera. Stanowić go będzie grupa trzech postaci, cztery metry wysoka. Niewiasta przedstawiająca bogactwo trzyma czarę napełnioną złotymi monetami, a ruch prawej ręki zdaje się wskazywać, że rozrzucać je zamierza. Obok geniusz wspaniałomyślności; na przodzie postać siedząca, która przedstawia handel, wzrok zwróciła na bogactwo a ręką wskazuje na port Genui, którego rozszerzenie i urządzenie zawdzięcza miasto patryotycznej ofercie matki i syna Galliera.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 4-ty i 5-ty Tomu II-go powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TANIE WYDANIE.

PISMO ŚWIĘTE

Starego i Nowego Testamentu

podług tekstu łacińskiego Wylgaty.

Przekład **X. Jakóba Wójka**

Wydanie nowe z objaśnieniami, zaaprobowane przez Konsystorza Archidiecezyi Warszawskiej.

Jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycja

ozdobiona **230** ilustracjami

rysunku najslawniejszego francuzkiego ilustratora

GUSTAWA DORÉ

Wychodzi zeszytami.—Zeszytów wszystkich będzie 60.

Dotychczas wyszło zeszytów **30.**

Każdy zeszyt zawiera 3—4 arkuszy tekstu i 4 ryciny nie w tekście, lecz oddzielnie odbite.

Cena zeszytu kop 25;—pocztą kop. 32.

Nadsyłający z prowincyi odrazu prenumeratę na całe dzieło płacą tylko rs. 17 zamiast rs. 19 kop 20, jak to przy częściowej opłacie wypada.

ZBIÓR

POWIEŚCI HISTORYCZNYCH

J. I. KRASZEWSKIEGO

Przedstawiających w formie powieściowej

Dzieje od IX do połowy XVIII w.

(WYDANIE TANIE)

29 powieści — 78 tomów.

Stara Baśń 3 t.
Lubonie, 2 tomy.
Bracia zmartwychwstańcy, 3 t.
Masław, 2 tomy.
Boleszyce, 2 tomy.
Królewscy synowie, 4 tomy.
Historja prawdziwa o Petru Właście, 2 tomy.
Stach z Konar, 4 tomy.
Waligóra, 3 tomy.
Syn Jazdona, 3 tomy.
Pogrobek, 2 tomy.
Kraków za Łoktka, 2 tomy.
Jelita, 1 tomy.
Król chłopów, 4 tomy.

Biały książę, 3 tomy.
Semko, 3 tomy.
Matka królów, 2 tomy.
Strzemięczyk, 2 tomy.
Jaszko Orfan, 4 tomy.
Dwie królowe, 3 tomy.
Infantka, 1 tomy.
Banita, 3 tomy.
Bajbuza, 3 tomy.
Na królewskim dworze, 3 tomy.
Boży gniew, 3 tomy.
Piaś (Michał Korybut), 2 tomy.
Notatki Polanowskiego, 2 tomy.
Za Sasów. Część I, 2 tomy.
Za Sasów. Część II, 2 tomy.

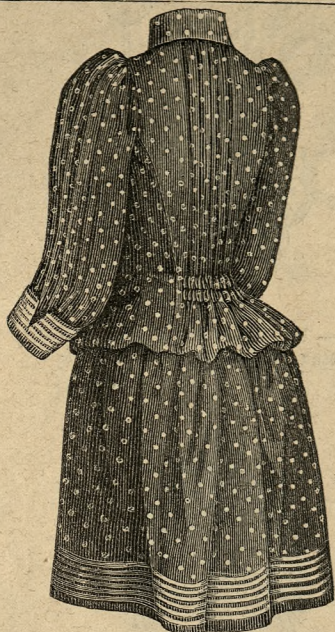
Cały zbiór 29 powieści (78 tomów),

Kosztuje rs. 28 pocztą 33.

Wydawnictwa powyższe są do nabycia w księgarni M. Glücksberga wydawcy *Bluszczu*, przy ulicy Królewskiej Nr. 5—
oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.



Nr 1. Okrycie z odpasowanego koronkowego materiału. (Plecy do Nr 5).



Nr 2. Suknia dla panienki od 8—10 lat. (Plecy do Nr 4). Kr. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 12—22.



Nr 3. Suknia z zefiru. (Plecy do Nr 6).

Urządzenie draperyi w stylu „rococo“ składa się z lambrekinu aksamitnego haftowanego i fantazyjnie udrapowanej ciężkiej jedwabnej materyi zaopatrzonej jedwabną podszeawką. Sznury z kwastami i grelotki wykończają całość.

Koronka do ozdoby bielizny (robota szydełkowa).

Rycina Nr 4 w Bl. Nr 24.

Koronka wykonana krętą bawełną. — 1 kolej: * 15 pow. ocz., z których ostatnie 10 złączyć w kółko 1 ściś. ocz., 2 ściś. łań. o. w 5 i 4, 15-m pow. o. 11 słup. w następną połowę kółka, od * powtórzyć. — 2 kolej: powracając po drugiej stronie poprzedniej kolei, * 10 sł. w wolną jeszcze połowę następnego kółka, 1 ściś. łań. o. w ściś. łań. o. znajdujące się przed następ. sł. tegoż wzoru po-



Nr 4. Suknia dla panienki od 8—10 lat. (Przód do Nr 2). Kr. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 12—22.



Nr 5. Okrycie z odpasowanego koronkowego materiału. (Przód do Nr 1).

Witraż. Robota przewlekana na tiulu.

Rycina Nr 1—3 w Bl. Nr 24.

Witraż wykonany na białym tiulu, zakończony zębami w dolnym i przednim brzegu, oraz ze szlakiem i deseniem rzucanym. Przenieść deseń na tiul odpowiedniej długości i szerokości podług ryc. Nr 2 i 1. Wzdłuż konturów mocować wąską tasiemeczkę „point lace“ i biały niciowy sznureczek, oraz jako zewnętrzne otoczenie zębów tasiemeczkę z pikotami. Przewlekać deseń białą bawełną a tiul niepotrzebny po wykończeniu roboty wyciąć.

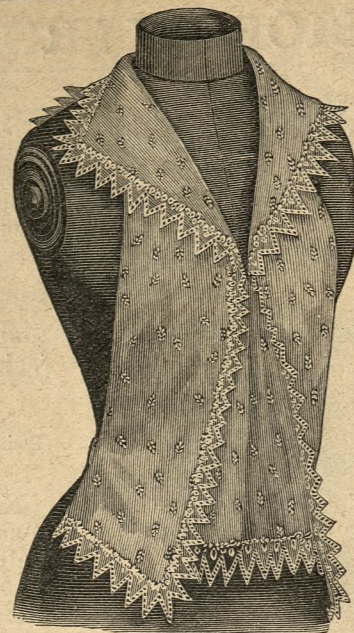


Nr 6. Suknia z zefiru. (Przód do Nr 3).

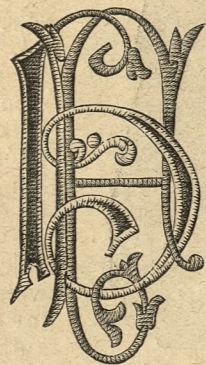
Nr 7. Okrycie z repsu jedwabnego.



Nr 17. Wycięty stanik z „surah“ (do Nr 21). Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 47—50.

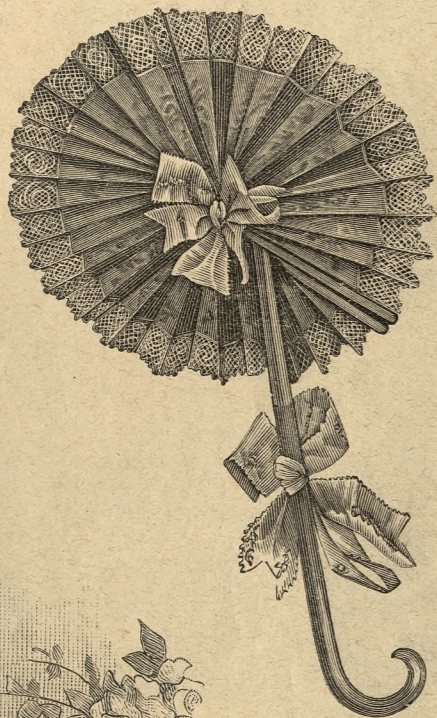


Nr 14. Napierśnik do żakietek.



Nr 19. Znak haftowany.

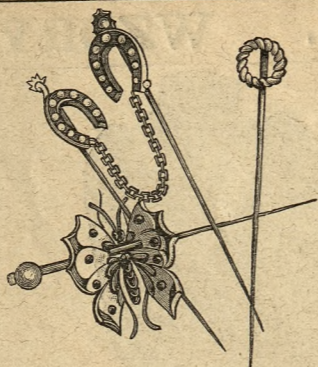
przedniej kolei, 3 pow. o., 1 ścis. lań. o. w 11 śl. następ. wzoru, od * powtórzyć. — 3 kolej: * 2 podwój. śl., których górne żyłki razem przerob. w 3 i 4 następnych 10 śl. poprzedniej kolei, 3 pow. o., 2 śl., których górne żyłki razem przerob. w następ. 2 ocz., 3 pow. ocz., 2 podwój. śl., których górne żył. razem przerob. w następ. 2 o., 1 pow. o., 1 potrój. śl. w następ. 3 pow. o., 1 pow. ocz., od * powtórz. — 4 kolej: ciągle 1 śl. w każde o. poprzed. kolei. — 5



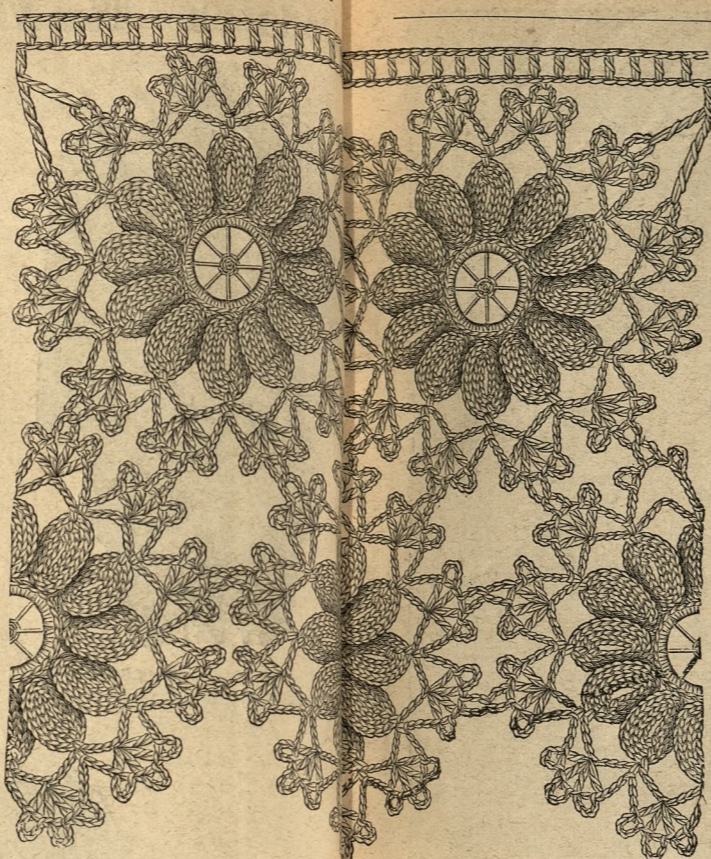
Nr 23. Wachlarz spacerowy lub podróżny.



Nr 26. Stanik z krepy (pod szyję) do ryc. Nr 22). Krój odwr. str. tabl. Nr V, fig. 35—46.



Nr 8—10. Ozdobre szpilki do krawatek, chusteczek itd. (Wielkość naturalna).



Nr 16. Koronka do ozdoby i ściąg. (Szydełkowa robota)

część zewnętrzną trzonką białą i ponsową na 3 o. pentelki powinny być białe i janie ponsowe. Przybrać bućkami i kwascikami.

Długa

Rycina Nr 17.

Skrajac poszewkę podług wzoru fig. 27 — 30 część fig. 27



Nr 21. Stanik z „surah“ (pod szyję) (do ryc. Nr 17). Kr. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 47, 48 i 51.

kolej: z drugiej str. roboty 1 kolei ciągle na przemian 8 śl. przedzielonych 1 pow. ocz. w 2 do 9 następ. 11 śl., 1 śl. w następ. 3 pow. oczko.

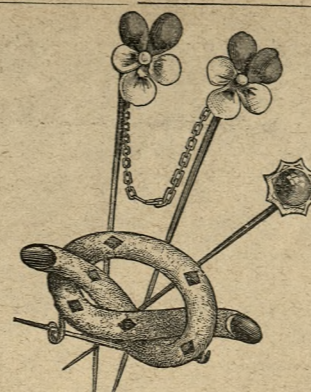
Bucik dla małych dzieci. Robota drutowa i szydełkowa.

Rycina Nr 7, 9 i 15 w Bl. Nr 24.

Bucik wykonany włóczką białą „zefir“ i włóczką zwyczajną koloru ponsowego częścią na drutach, częścią szydełkiem. Rozpocząć włóczką białą od przedniej części trzewiczka ścięciem żeberkowym tam i napowrót na założeniu 14 oczek. — 1 kolej: oczko opuścić, 6 ścis. ocz. w następne 6 ocz., przybrać 3 ścis. o. w następne o., 6 ścis. o. w następ. 6 ocz. — 2 kolej: 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 1 z tychże, potem ciągle 1 ścis. ocz. w tylną żyłkę każdego ocz. poprzedniej kolei, ale w środku należy tak jak przedtem przybrać 1 o. — 3 kolej do 13 jak poprzednia, tylko że w ostatnich 7 kolejach przy rozpoczęciu wykonywać tylko 1 pow. ocz. — 14 kolej: 1 pow. o., 15 ścis. o. w tylne żyłki ostat. 15 ścis. o. poprzedniej kolei (reszta oczek pozostaje nietkniętych). — 15 do 66 kolei jak poprzednia; potem połączyć ocz. ostatniej kolei z pierwszymi 15 oczkami 13 kolei. Następnie włóczką ponsową wykonać część pończoszki robotą drutową 34 kolei ścięciem żeberkowym ciągle na przemian: 2 o. zwyczajnie, 2 o. odwrotnie a po skończeniu o. odczepić. Podeszwę wykonać podług wzoru podanego Nr 9 podwójną nitką włóczki ponsowej, rozpoczynając od noska tam i napowrót na założeniu 12 o. Potem wykonać podeszew zewnętrzną podług ryc. Nr 15 teje co wewnątrzna wielkości. Obie podeszwy połączyć z trzewiczkiem w sposób, ażeby pentelki podeszwy Nr 9 były wewnątrz widzialne. Pentelki zdobiące



Nr 25. Suknia dla 10—12 lat. (Krój i opis pod III, fig. 23—33).



Nr 11—13. Szpilki ozdobne do krawatek, chusteczek itd. (Wielkość naturalna).



Nr 15. Chusteczka z krepy, koronki i wstążki gazowej



Nr 20. Znak haftowany.



Nr 18. Stanik z bengaliny (pod szyję) (do ryc. Nr 27). Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—11.



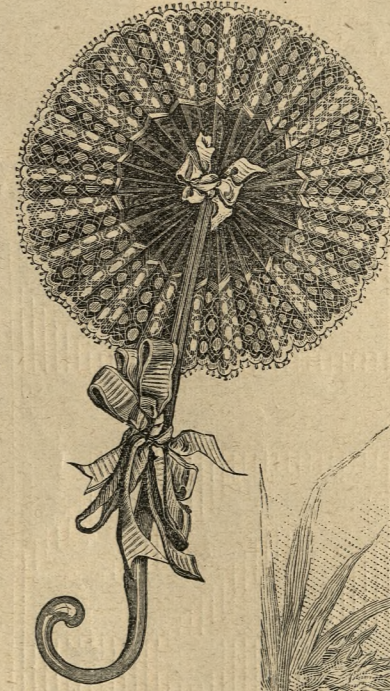
Nr 22. Stanik z krepy (wycięty) (do ryc. Nr 26). Kr. odwr. str. tabl. Nr V, fig. 35—39.

z satinki bawełnianej w deseń, inne zaś części z szyrtingu podwójnie złożonego. Brzeg zewnętrzny górnej połowy otoczyć falbanką haftowaną 7 c. szer. i zeszyć części podług cyfr, fig. 30 połączyć tylko z spodnią częścią fig. 27, górna część pozostaje dla wsuwania poduszki. Przyszyć boczne złożenia a z prawego brzegu przyszyć odpowiednio długą 66 cent. szer. część satinki, którą ozdobić jak w dolnym tak w górnym brzegu falbanką haftowaną 6 c. szer. i tamże jako też w środku wykonać przeciągnięcie tasiemką do związania na lewym boku na tasiemki w odpowiednim przyszytym miejscu. Dwa boczne złożenia podług ryciny. Wstążka 4 1/2 cent. szer. służy do związania podług ryc. na kokardy.

Poduszka długa z sukienką.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 24. (Kr. pierw. str. tabl. Nr V, fig. 27—36).

Poduszkę, którą zarówno używać można bez części wierzchniej wykonać z modopolamu podług kroju fig. 27 do 30; skrajac po jednej części, ale fig. 27 z materiału podwójnie złożonego. Górną zaokrągloną część fig. 27 pokryć batystem i otoczyć haftem 2 cent. szer. oraz wstawką koronkową 2 1/2 cent. szer. Zeszyć podwójną część wzdłuż brzegu włącznie z częścią batystową od 57 do 59, przyczem przymocować boczne złożenia (fig. 28 i 29) od 56 do 57 i od 58 do 59, dolne zaś złożenie (fig. 30) przyszyć do spodniej części podwójnie złożonej fig. 27. Górną część zaokrągloną fig. 27 otoczyć paskiem haftowanym 6 cent. szer., boczne złożenia zaopatrzyć w przednim brzegu



Nr 24. Wachlarz spacerowy lub podróżny.



Nr 27. Stanik z bengaliny (wycięty) (do ryc. Nr 18). Kr. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—7.

sarkfami do związania, dolne zaś złożenie w górnym brzegu po rogach. Miejsce oznaczone cyfrą 56 i 58 służy do wsuwania materacyka. Część wierzchnią skrajac z batystu podług kroju fig. 31 jedną część. W dolnym brzegu wykonać 5 1/2 c. szer. obrąbek, ozdobić 5-ma drobnymi zakładczkami, na które należy przy krajanii dodać materiału. Z wstawek haftowanych i koronkowych wykonać część podług fig. 32, dolną część obszyć haftowanym szlaczkiem 25 c. szer. i otoczyć na wzdłuż wstawką haftowaną

5½ c. szer. połączyć z lewego boku z fig. 31 od 60 aż do dolnego brzegu. Górną część zaokrągloną fig. 31 przyszyć niewidzialnym ścięciem do dolnego boku fig. 27 od 56 do 58. W razie używania poduszki bez części ozdobnej, w takim razie dolne złożenie (fig. 30) ozdobić wstawką i falbanką haftowaną, lub też nakrywać kołderką. Kaftanik wykonać z batystu i ozdobić haftem i koronką podług kroju fig. 33 do 36.

Łóżeczko koszykowe dzieciinne na postumencie.

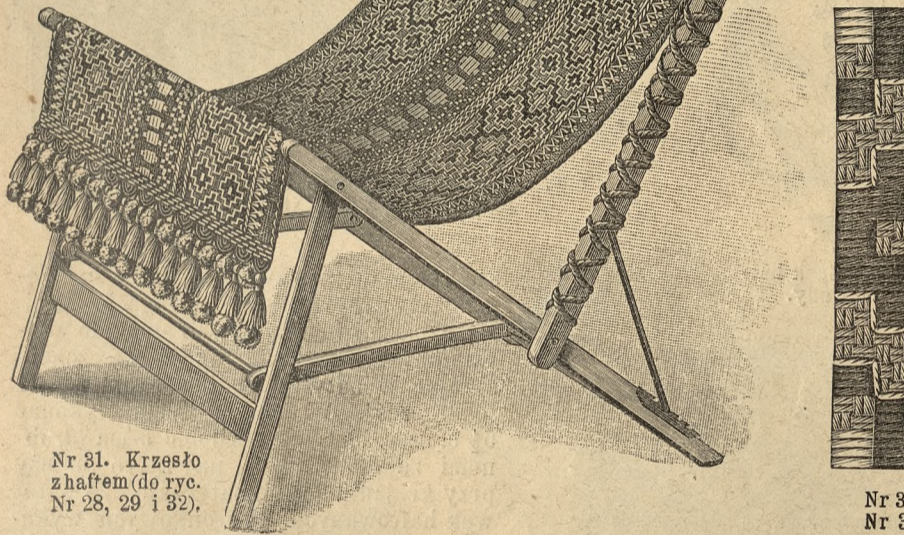
Rycina Nr 23 w Bl. Nr 24.

Łóżeczko koszykowe łatwo przenośne na postumencie, którego nóżki zaopatrzone w kołeczka. Koszyk wewnątrz wysłany materiałem jedwabnym lub wełnianym pikowanym. Budka pokryta kaszmiem niebieskim, ozdobiona riuszką wycinaną w zęby oraz falbanką koronkową podług ryc.

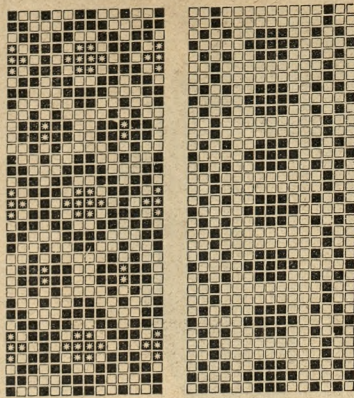
Poszewka na podróżną poduszkę. (Ścieg płaski, rybiej łuszczy i pocztowy).

Rycina Nr 34 w Bl. Nr 24.

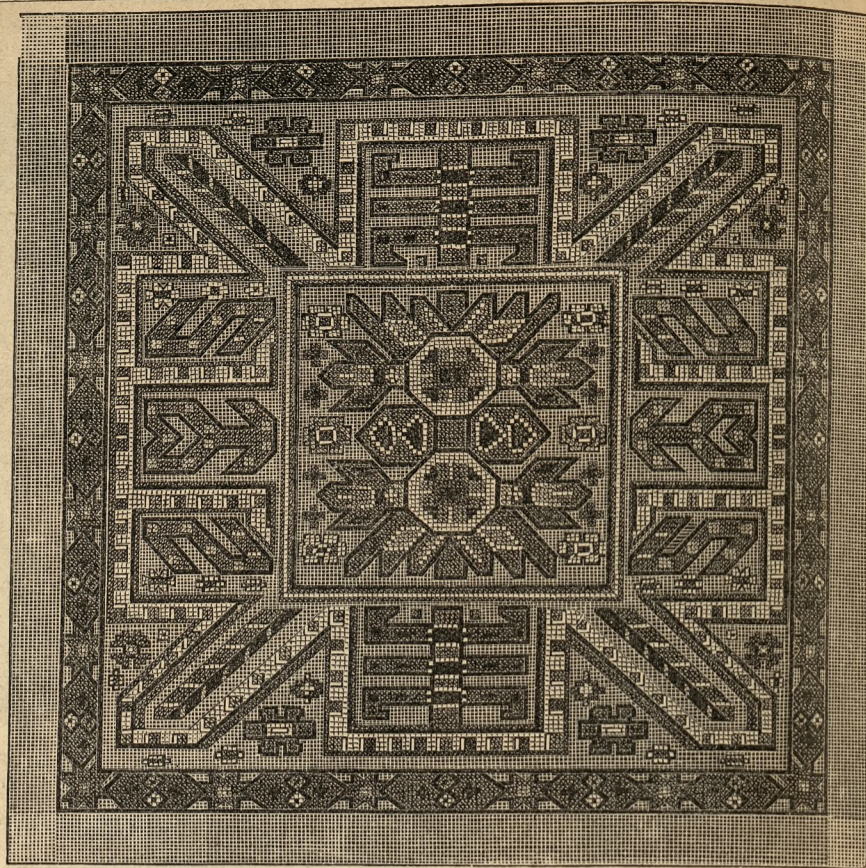
Poszewka odpowiedniej wielkości do poduszki wykonana z lnianej tkaniny koloru szarego. Zapina się z boku, na co przy krajanu



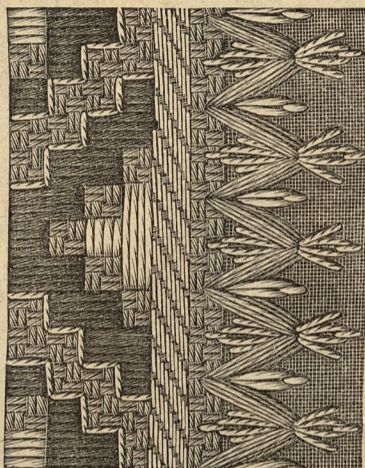
Nr 31. Krzesło z haftem (do ryc. Nr 28, 29 i 32).



Nr 28—29. Deseń na krzesło Nr 31.



Nr 30. Serweta. Krzyżowa robota (do ryc. Nr 34).



Nr 32. Część haftu do krzesła Nr 31 (2/3 natural. wielkości).

a przed podaniem dopiero posolić i włożyć jeszcze pół łyżki młodego masła dla smaku, bardzo dobre i eleganckie danie.

L. C.

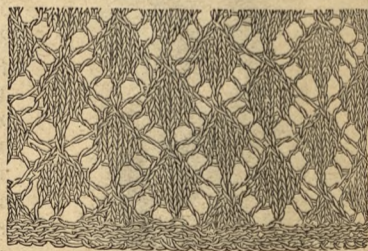
Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rumiana z jarzynami.
2. Paszteciki cesarskie ze szparagami.
3. Sztukamięsa biała z ogórkami.
4. Kalafiory.
5. Kurczęta z kompotem z łydzy ranoarby.

KORRESPONDENCA.

Odp. pani E... z Sobolewa.

Jajka przechowują się nie w wodzie wapiennej, ale w wapnie — jest to sposób używany przez cukierników, postaram się sprawdzić stosunek wapna u Loursa, gdzie mi ten sposób dano. O przechowaniu jaj w soli podałam już dwa lata temu. Za przysłany przepis dziękuję serdecznie.



Nr 33. Deseń robota drutowa na dzieciinne kaftaniki, pończoszki i t. d.

Uwaga.

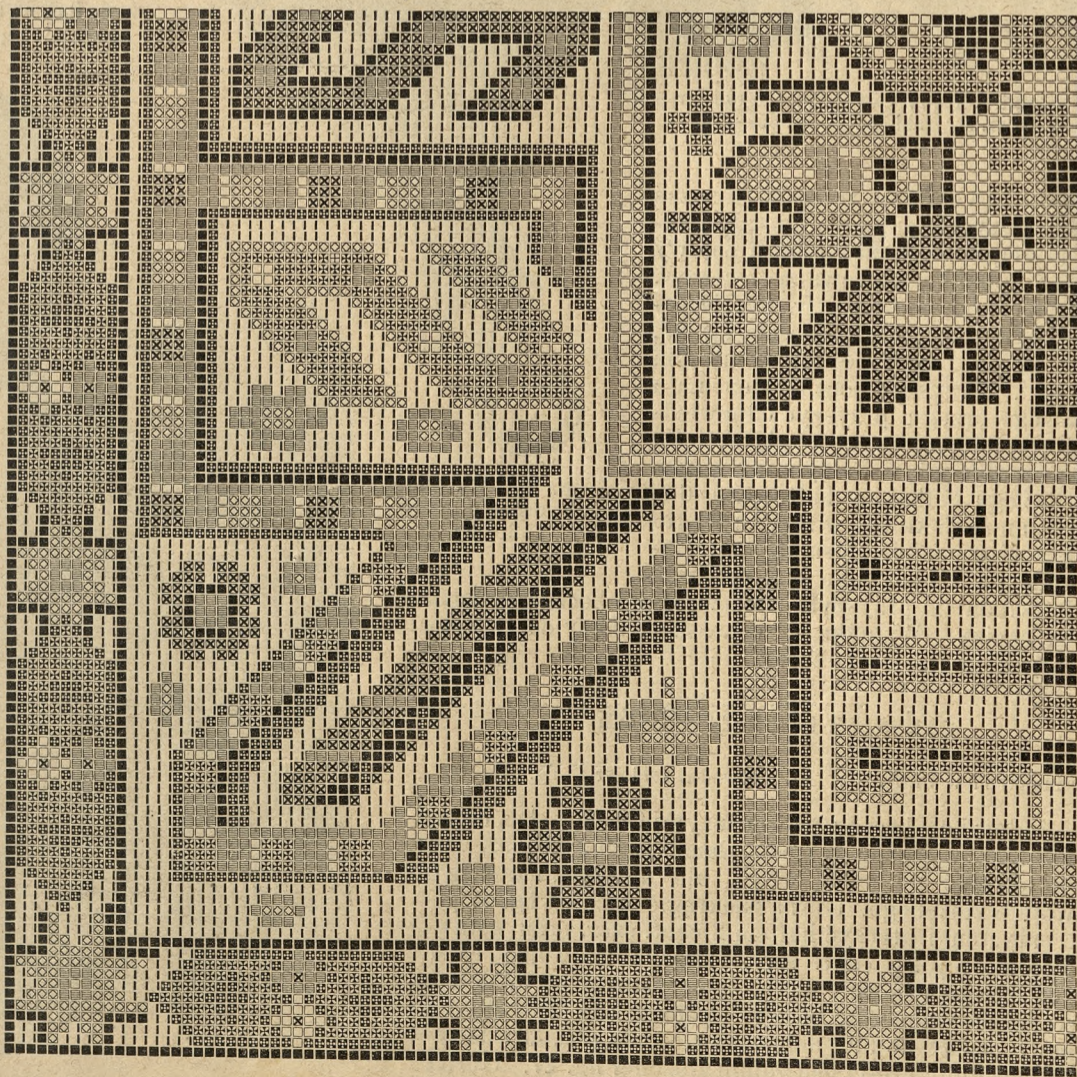
Tablica krojów dołączona do Nr 25 Bluszczy, służy też do Nr dzisiejszego.

należy dodać materiału. Wierzchnia część ozdobiona haftem wykonanym bawełną ponsową. Kontury ścięciem gałązkowym, pojedyncze zaś figury wypełniać wyżej wymienionymi ścięciami.

Przepisy gospodarskie.

Risotto „aux foie de volaille.“ (Ryż z wątróbkami z drobiu).

Znowu nazwa francuzka pompatycznie brzmiąca — a to jest poprostu ryż ugotowany na bulionie z wątróbkami. Na cztery osoby pół funta ryżu odparzyć, to jest nalać gorącą wodą, postawić na blasze i gdy się chce gotować odlać — włożyć w rondel łyżkę młodego masła, na to ryż, podlać bulionem mocnym, a gdy się ryż zacznie dobrze gotować, włożyć przygotowane, jakie są często w domu od kur, kapłonów, kaczek lub indyczek wątróbki — mniejsze w całości, większe przekrajane na połówki, przykryć i dusić na wolnym ogniu, ponieważ wątróbki bardzo prędko się duszą, więc należy pilnować, gdy wątróbki miękkie, to i ryż dobry, trzeba tylko ciągle potroszku bulionu dolewać.



Nr 34. Deseń na serwetę Nr 30. Objaśnienie znaków: ■ Czarny, ■ ciemno-bronзовый, ■ jasno-bronзовый, ■ ponsowy, □ żółty, ■ oliwkowy, × niebieski, ' tło.